NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 10 czerwca 1916. Nr. 24.

Rocznica oswobodzenia Przemyśla.



Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod „Rycerza w zbroi" w Przemyślu.

Rocznica oswobodzenia Przemyśla.

Zmienne są losy wojny... Tryumfowała cała Rosya, gdy padła twierdza przemyska — nie zdobyta, lecz wzięta głodem! — Tryumf ten, który przypieczętowała wizyta carska w Przemyślu, stał się jednak tem sromotniejszą klęską Rosyan.

Ta sama twierdza, u bram której wojska rosyjskie ponosiły daremnie przez szereg miesięcy tak straszne ofiary, została odebraną z rąk nieprzyjaciół w ciągu kilku dni zaledwie! W dniu 3. czerwca 1915 r. armie sprzymierzone wkroczyły do Przemyśla, skąd Rosyanie uciekli, wyparci brawurowym szturmem...

Przemyśl obchodził też uroczyście rocznicę swego wyswobodzenia. Już w piątek dnia 2. czerwca całe miasto było udekorowane chorągwiami i kwiatami, a o godzinie dziewiątej wieczorem wyległy na miasto wielotysięczne tłumy przy odgłosie dźwięków trzech orkiestr wojskowych, które przeciągały ulicami, poprzedzone konnicą i piechotą z lampionami i pochodniami.

W sobotę dnia 3. b. m. o godzinie szóstej rano odbyła się pobudka wszystkich trzech orkiestr wojskowych, a o godzinie dziewiątej odprawiono nabożeństwa we wszystkich kościołach i domach modlitwy.

Z okazyi tej uroczystości o godzinie jedenastej odbyło się położenie kamienia węgielnego pod „Rycerza w zbroi", w obecności władz wojskowych, cywilnych i duchownych. Uroczystość ta zakończyła się przemowami: komisarza rządowego p. Łyszkowskiego, komendanta przyczółka mostowego generał-majora Stowassera, biskupa ks. dra Pelczara i rabina Schmelkesa.

Następnie odbył się pochód wielotysięcznego tłumu przez wszystkie ulice miasta, gdzie znowu, po tylu miesiącach smutku, zapanowała ogólna radość.



Rocznica oswobodzenia Przemyśla: Pochód w dniu 3. czerwca.

Wystawa cmentarzy wojennych.

Pięknym i wzruszającym objawem pietyzmu ze strony czynników wojskowych była inicyatywa urządzenia na rozgłośnych pobojowiskach zachodniej Galicyi całego szeregu cmentarzy wojennych, dla uczczenia poległych w krwawych bitwach bohaterów wojny. Grobami i zwłokami poległych zasiane są rozległe tereny i pola naszego kraju, gdzie przed rokiem toczyły się gigantyczne boje. Słuszna jest rzecz, aby ofiarom tej wojny społeczeństwo wypłaciło się skromnym chociażby hołdem pozgonnym, pamięci ich złożonym, w postaci cmentarzy i nagrobków dla nich wzniesionych.

Kilka miesięcy trwały przygotowania tych projektów, do których zaproszono cały szereg artystów, rzeźbiarzy, malarzy i architektów, pozostających w służbie wojskowej.

Wymownym przeglądem prac, jakie z pietyzmem podjęła c. i k. Komenda wojskowa w Krakowie dla uczczenia pamięci poległych, była urządzona od 18. do 28. z. m. w naszym Pałacu Sztuki wystawa cmentarzy wojennych.

Wystawione przez oddział dla grobów wojennych przy c. i k. Komendzie wojskowej w Krakowie prace wykończono w przeciągu kilku miesięcy, a odnoszą się one przeważnie do sześćset dziesięciu cmentarzy, które się na pobojowiskach zachodniej Galicyi częścią już urządza i wykończa, częścią ukończenienie ich w ciągu tego lata projektuje.

Dla planowanego opanowania tego olbrzymiego zadania na obszarze wojennym 10.000 klm.², potrzebną była organizacya, na wielką skalę zakrojona, obszerna, docierająca do najdrobniejszych szczegółów. Przeważającą zasługę w zainicyowaniu i przeprowadzeniu całej akcyi przypisać należy przedewszystkiem Ekscellencyi gen. v. Brandnerowi, szef. gener. sztabu podpułkownikowi Kolbenheyerowi, za-



Rocznica oswobodzenia Przemyśla: Uroczystość położenia kamienia węgielnego pod „Rycerza w zbroi". 1) Komisarz rządowy p. Łyszkowski, 2) ks. biskup dr. Pelczar, 3) rabin Schmelkes.

stępcy jego kapitanowi J. Pallo i komendantowi oddziału dla grobów wojennych, kapitanowi Rudolfowi Brochowi.

Zasady, na których oparto wewnętrzną organizacyę tej akcyi, są następujące. Przedewszystkiem przeprowadzono podział całego obszaru, na którym miały powstać cmentarze, na 10 obwodów cmentarnych, uzależniając je od następujących miast: Żmigród, Jasło, Gorlice, Luźnia, Pilzno, Tarnów, Dąbrowa, Brzesko, Bochnia i Limanowa. Dla każdego z tych obwodów zorganizowano odrębną komendę opróżnienia pobojowisk i ustanowiono osobnego kierownika artystycznego.

Poszczególnym komendantom tych obwodów (komendantami zamianowano niezdolnych do służby frontowej oficerów i inżynierów i budowniczych



Wystawa cmentarzy wojennych: Westibul wystawy w krakowskim Pałacu Sztuki z popiersiem cesarza Franciszka Józefa.

w zawodach cywilnych) podporządkowano i przydano do pomocy częścią jeńców wojennych, częścią żołnierzy. Pracują oni nad urządzaniem cmentarzy wojennych według projektów i planów artystycznych kierowników (rzeźbiarze, architekci w zawodzie cywilnym), którzy znajdują oparcie w całym szeregu znakomitych sił artystycznych i rękodzielniczych. Spotykamy wśród nich cały szereg znanych i cenionych artystów malarzy, rzeźbiarzy, modelerów, architektów ogrodowych, fotografów, budowniczych, przedstawicieli przemysłu artystycznego.



Wystawa cmentarzy wojennych: Przed Pałacem Sztuki w ostatnim dniu wystawy. 1) Komendant wojskowy w Krakowie eksc. Brandner, 2) gen. Hendtke delegat z m'n wojny, 3) podpułkownik v. Kolbenheyer, szef sztabu przy kom. wojskowej w Krakowie, 4) kapitan Broch, kom oddziału dla grobów wojennych, 5) szef sekcyi w min oświaty Foerster-Streffleur, 6) kapitan Pallo, zastępca szefa sztabu.

Specyalny oddział zajmuje się badaniem i oceną planów budowlanych, kieruje dostawą materyałów i czuwa nad wykonaniem prac ogrodniczych.

Pomimo ofiarnej pomocy obywatelskiej okazała się konieczność skrzętnego gospodarowania uzyskanymi środkami ze względu na olbrzymi zakres działania, jak również na znaczne trudności terenowe. Zgodnie z życzeniami, płynącemi z artystycznych pobudek, postanowiono stworzyć dzieła sztuki o postawie monumentalnej, a cmentarze dostosować i zharmonizować z otaczającym pejzażem. Przeważnie też posługiwali się artyści w ozdabianiu i tworzeniu cmentarzy materyałem najłatwiej w danej okolicy dostępnym, a więc w jej charakterze leżącym. W taki sposób powstał cały szereg uroczystych, a w postawie swej niesłychanie pięknych cmentarzy leśnych.

Wyjątkowo tylko na pobojowiskach i miejscach, mających historyczne znaczenie, zdecydowano się na większe wkłady; tam też starano się urzeczywistnić poważne aspiracye architektonicznej sztuki cmentarnej. Komenda wojskowa nie czuła się jednak powołaną do budowania lub stwarzania na tych historycznych miejscach pomników we właściwem tego słowa znaczeniu. Wychodziła bowiem z założenia, że wystawienie monumentalnych budowli pamiątkowych dla bohaterów Gorlic, Limanowy, Tarnowa, Opinowy, Luźni i t. p. jest zadaniem czasów późniejszych, zadaniem wszystkich ludów monarchii i wszystkich kół artystycznych. Dlatego też ograniczyła się c. i k. Komenda wojskowa jedynie do zgoła nieobowiązujących projektów, lub do prowizorycznych pomników, które ze względu na nieznaczne koszta mogą każdej chwili ustąpić miejsca bardziej wartościowym dziełom sztuki.

Należy podnieść z całym naciskiem, jako objaw wysoce pocieszający i dający wyraz patryotycznemu nastrojowi naszej ludności wiejskiej, że wszyscy prawie — z nieznacznymi wyjątkami — właściciele gruntów, bogaci czy ubodzy, szlachta czy chłopi — dobrowolnie w drodze darowizny odstępowali grunta potrzebne do urządzenia i zorganizowania sześciuset dziesięciu cmentarzy.

Czynne zainteresowanie się tą akcyą nie ograniczyło się jednak tylko do tych sfer; wyszło poza nie i zatacza coraz szersze kręgi. Dziesiątki tysięcy obywateli państwa dorzuca swą cegiełkę do tego zbożnego dzieła czy to w drodze składek, czy przez oddawanie swych oszczędności, czy też wkońcu przez zakupno artystycznie wykonanych plakiet i odznak, zaprojektowanych przez rzeźbiarza Franciszka Mazura, a przez c. i k. Komendę wojskową w Krakowie do sprzedaży przeznaczonych.

Wystawa rozmieszczona w siedmiu salach przy-



Wystawa cmentarzy wojennych: Pejzaże Uziembły i Karpińskiego z grobami żołnierskimi i z fragmentami istniejących cmentarzy wojennych.

niosła plon niesłychanie interesujący bogactwem i różnorodnością pomysłów i stylów w projektach cmentarzy. Udział w niej wzięli nie tylko polscy artyści i architekci, ale także niemieccy z austryackich krajów koronnych, co uwidocznia się bardzo wyraźnie w charakterze i stylu przedstawionych przez nich projektów. Jedyna to w swoim rodzaju wystawa o dziwnie odrębnym charakterze, ujmująca rzewnym sentymentem, przemawiająca wymownie do duszy logiką rzeczywistości i cyfr, uzmysławiających fakta dokonane. Pierwiastek stylu rodzimego zastosowany do charakteru pejzażu, architektury i etnografii kraju, występuje w pełni w projektach, wykonanych przez artystów polskich. Inne projekty, chociaż wykazują wpływ otoczenia i usiłowanie nagięcia twórczości do stosunków lokalnych, mają w stylu piętno swego pochodzenia, pozwalające je na pierwszy rzut oka odróżnić od projektów rodzimych.

Z polskich artystów wzięli udział: porucznik Jan Szczepkowski, rzeźbiarz, porucznicy Alfons Karpiński i Henryk Uziembło, oraz Stanisław Żarnecki, jako malarze.

Wystawa rozpada się na kilka działów. Przynosi ona 1) obrazy, akwarele i rysunki grobów i projektów, oraz okolicznościowe pejzaże i motywy, związane z walkami zeszłorocznej galicyjskiej ofenzywy, 2) opracowania architektoniczne projektów w modelach i konstrukcyi, 3) fragmenty poszczególnych części cmentarzy i pomników (krzyże, tablice, nagrobki), 4) plany i fotografie. Działy wymienione rozmieszczono grupkami w salach poszczególnych, co ułatwiało ich przegląd.

Na wstępie zwracał uwagę zwiedzającego, tuż nawprost wejścia umieszczony biust cesarza Franciszka Józefa w otoczeniu kamiennych słupów architektonicznych, zakończonych hełmami. Jest to dzieło jednorocznego ochotnika H. Scholza.

Niepodobna wymienić wszystkich artystów, biorących udział w wystawie. Ogólny przegląd ich prac przedstawiają zamieszczone fotografie. Zaznaczyć jedynie należy, że wszystkie plastyczne modele (według poszczególnych projektów) wykonał z wielkim artyzmem i niezwykłą pracowitością jednoroczny ochotnik R. Völkel.

Wkońcu należy jeszcze nadmienić, że wystawa wzbudziła w Krakowie wielkie zainteresowanie, o czem świadczy wymownie jej frekwencya. — W ciągu dziesięciu dni zwiedziło wystawę dwanaście tysięcy osób cywilnych, cztery tysiące pięciuset uczniów i uczenic i pięć tysięcy żołnierzy.



Zgon polskiego uczonego: S. p dr. Przemysław Odrowąż Pieniążek, prof. laryngologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Zgon polskiego uczonego.

Nowa ciężka strata dotknęła uniwersytet Jagielloński i polską naukę. Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w ubiegłym tygodniu profesor laryngologii, znakomity lekarz i wybitny uczony, dr. Przemysław Pieniążek. Potomek jednej z najstarszych szlacheckich rodzin w Polsce, ś. p. Przemysław Pieniążek urodził się w roku 1850 w Warszawie. Do gimnazyum uczęszczał w Krakowie i tutaj zdał egzamin dojrzałości, poczem w roku 1874 otrzymał na uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora medycyny. Celem kontynuowania studyów wyjechał do Wiednia, gdzie poświęcił się laryngoskopii i w latach 1875 do 1878 pracował jako asystent kliniczny prof. Störka. Po powrocie do Krakowa habilitował się jako docent chorób gardła, krtani i nosa w roku 1879, poczem został około roku 1890 profesorem nadzwyczajnym tego przedmiotu. Przez lat kilka był ś. p. prof. Pieniążek prezesem tutejszego Tow. lekarskiego.

Jako pracownik nauki zapisał ś. p. prof. Pieniążek imię swe w literaturze szeregiem poważnych i wartościowych prac i podręczników z zakresu swej specyalności, ogłaszanych w języku polskim i niemieckim. Do najważniejszych należy podręcznik „Laryngoskopia oraz choroby krtani i tchawicy". Poza tem dziełem, streszczającem całą naukową działalność Zmarłego, wykazuje bibliografia lekarska kilkadziesiąt rozpraw pomniejszych, ogłaszanych w wydawnictwach Akademii Umiejętności, „Przeglądzie lekarskim" i zagranicznych naukowych publikacyach.

Zmarły profesor w zakresie laryngologii należał do największych powag i wykształcił długi szereg uczniów, którzy mu zawdzięczają gruntowną i szeroką znajomość przedmiotu. Sława jego rozbiegła się daleko poza granicami kraju, a liczni chorzy z dalekich stron przybywali, aby zasięgać jego porady i szukać u niego pomocy. Tysiące chorych zawdzięczają mu uzdrowienie lub ulgę w cierpieniach, a na ogłaszane przezeń kursa specyalne przybywali liczni lekarze.

Jako profesor cieszył się Zmarły wielkim szacunkiem uczniów dla rzadkich zalet serca i charakteru. Poświęcony całkowicie nauce i sztuce lekarskiej, pomimo rozległej wiedzy i szerokiego ogólnego wykształcenia, nie wysuwał się w szeregi ubiegających się o publiczne urzędy i dostojeństwa. Jako dobroczyńca cierpiących i prawy lekarz-obywatel zaskarbił sobie Zmarły wdzięczne serca i najlepszą po sobie pozostawia pamięć.



Wystawa cmentarzy wojennych: Model cmentarza na wzgórzu Jabłoniec pod Limanową, wykonany według projektu nadpor. Ludwiga.

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

9

— Komu się to zachciewa czytać o miłości, takiemu gołowąsowi, który powinien siedzieć nad gramatyką łacińską, albo logarytmami — odezwał się pogardliwym tonem saper Poniewicz.

Jurek rzucił się, jak oparzony.

— Proszę! A jak wkraczaliśmy do Kielc, to za kim panny się oglądały, może za saperami, komu rzucały kwiaty, saperom może...

— Ależ, Jurek — mitygował go ktoś — tam wtedy wcale saperów nie było!

— No to co, że nie było?! A gdyby nawet byli, to żadna panna nie spojrzałaby na nich, bo co to za wojsko?!

Pani Krystyna śmiała się serdecznie z tych przekomarzań:

— Jutro przyniosę książki i gazety, a dla pana Jurka gramatykę łacińską! — dodała żartobliwie.

— O! Mnie się zdawało, że pani bardzo dobra, a ja widzę, że panią już przekabacili panna Zosia i saper!

Zabrzmiał znowu śmiech.

— Sto pociech mamy z tym Jurkiem — mówiła panna Zofia — rozwesela wszystkich.

Pani Krystyna zwróciła się do panny Rasińskiej z zapytaniem:

— Czy w tym szpitalu są jeszcze inni Polacy?

— Jest ich jeszcze sporo w innych salach. Mamy także kilku oficerów Polaków.

— Czy panie polskie często tutaj przychodzą?

— Zaglądają kiedy niekiedy, ale nie tak często, jakby spodziewać się można. Jeszcze nasz szpital jest pod tym względem najszczęśliwszym, ponieważ położony jest w centrum miasta... Ale Polaków znaleźć można we wszystkich innych szpitalach Wielkiej Pragi i na wszystkich przedmieściach. Niestety na przedmieściach to już rzadko kto zagląda, a gdzieniegdzie pozbawieni są nasi żołnierze zupełnie odwiedzin rodaków i polskiej lektury. Niedawno na przykład byłam w szpitalu w „Dejwicach". Jest tam pięciu Polaków... Skarżyli się, że im bardzo smutno. Nikt z naszych ich nie odwiedza, bo to daleko od miasta — obcy przechodzą koło nich obojętnie, czasem nawet nie jedną gorzką pigułkę przełknąć przyjdzie. Tak... tak... Do któregokolwiek szpitala zajść, napewno znajdzie się tam Polaków, łaknących rozmowy z rodakami i polskiej książki. W tym wypadku, zarówno jak w wielu innych potwierdzają się słowa Krasińskiego: „Wszędy, wszędy na planecie ryty naszej braci ślad"...

Pani Krystyna słuchała uważnie. Nieprzyzwyczajona do poważnego myślenia, nie sięgała w głąb rozumowań medyczki, nie rozumiała niektórych jej niedomówień, odczuwała jednak mocno to, co tamta powiedzieć chciała, że są pewne rzeczy, które się czynić powinno, a zapomina się o nich, zaniedbuje się je i to jest źle... A logika szlachetnego, współczującego serca podsuwała pani Krystynie wniosek, że trzeba naprawić to, co się zaniedbało.

Pani Wolska pożegnała się z żołnierzami i panną Rasińską i wyszła na ulicę pogrążona w myślach tak poważnych, jakie rzadko ją nawiedzały.

Od niejakiego czasu bezczynne, bezcelowe życie zaczynało nudzić panią Krystynę. Ziewała na przedstawieniach kinematograficznych, w teatrze lub na koncercie odczuwała coraz częściej przesyt (nie była przecież artystką, ani nawet zawziętą melomanką) gwar kawiarniany zaczynał ją nużyć i męczyć. Komplementy i opowiadania Potyrowskiego wydawały się jej nieraz płaskiemi i szablonowemi.

Rozsądek zresztą nakazywał jej trzymać się trochę zdala od niego, ponieważ coraz wyraźniej zdradzał swoje zamiary matrymonialne, które w sercu bogatej wdowy znajdowały coraz mniej oddźwięku.

Nie zdając więc sobie dokładnie sprawy z przyczyn, pani Krystyna coraz częściej doświadczała napadów nudy, zniechęcenia, melancholii.

I oto nagle teraz wykwitł przed nią cel piękny, jasny, świetlany, który mógł ją ożywić, odmłodzić, podnieść we własnych oczach, uszlachetnić.

Postanowiła, że wyrobi sobie pozwolenie odwiedzenia wszystkich szpitali. Nie ominie żadnego i choćby jeden się tylko Polak tam znajdował, odwiedzi go. Będzie się dowiadywała, czego któremu z rannych, chorych żołnierzy polskich brakuje, będzie starała się spełniać ich życzenia, dopomagać im, pocieszać ich, czuć z nimi.

Będzie im matką, siostrą, opiekunką.

Pani Krystyna zatopiona w swoich myślach, jak przez mgłę usłyszała wymówione przy sobie słowa:

— Może łaskawa pani kupi kartek... Bardzo ładne... Polskich malarzy... Czeska sztuka... Bardzo ładne... artystyczne...

Słowa te wymówił stary, siwy mężczyzna, dźwigający pod pachą spore pudełko. Otworzył je i podawał pani Krystynie.

Plecy miał silnie przygarbione, a nogami suwał ociężale, widocznie zmęczony długiem chodzeniem po ulicach miasta.

Pani Krystyna była tak zajęta własnymi projektami, że nie starała się nawet zrozumieć, kto i o czem do niej mówi.

Dała tylko znak ręką, że niczego nie chce, nie potrzebuje.

Stary z westchnieniem zamknął swoje pudełko i podreptał dalej.

Szedł coraz powolniej z opuszczoną głową, plecy jego przygarbiły się jeszcze widoczniej. Kiedy uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się, obejrzał za niknącą w dali strojną postacią pani Wolskiej, pokiwał smutnie głową i szepnął do siebie:

— Moj Boże! Taka bogata pani i tak jej jakoś dobrze z oczu patrzy, a nie kupiła... Cóżby jej to szkodziło, żeby tak kupiła tuzin kartek, no, choćby ze sześć... Miałbym za to ciepłą kolacyę, a niechby już nawet parkę „würstli". Nikt nie chce kupować moich kartek, nikt!... Nie zarobiłem dzisiaj ani halerza... A taki jestem zmęczony, nogi bolą i jeść się chce... Ano... Czy może żebrać mi przyjdzie na stare lata? Boże mój! Boże!... Jak trudno żyć tu pomiędzy obcymi!...

Tym przekupniem kartek był Andrzej Gilewski. W młodości swojej miał on chwile górne, jasne, promienne. Marzył o sztuce i sławie. Kilka pierwszych jego obrazków roznieciło nad głową młodego malarza promyki sławy.

Znawcy przepowiadali Gilewskiemu piękną przyszłość pod warunkiem, że jego talent znajdzie drogę rozwoju. Ale talent ten nie rozwinął się, gdzieś zagubił się, zatracił w przymusowej pracy zarobkowej, w codziennej gonitwie za chlebem powszednim. — Powoli Gilewski starzał się, zacierały się w nim górne marzenia, dławione bezlitośnie przez szarą „kumę-troskę".

W mieście, w którem mieszkał stale, znano go jako dobrego illustratora, a że nie był zbyt wymagającym, bo zawsze potrzebował zarobku, zwłaszcza kiedy chorowała żona lub trzeba było pieniędzy na wykształcenie syna, więc orano nim, popychano to w tej, to owej redakcyi, to w tem, to w owem wydawnictwie.

A potem umarła żona, syn wyjechał do Ameryki i Gilewski został sam, stary i znużony.

Wybuchła wojna, przyszła ewakuacya i Gilewski znalazł się na bruku praskim bez żadnych środków do życia.

Był Królewiakiem, nie przysługiwało mu więc nawet prawo do pobierania 70 halerzy zasiłku dziennego.

Inni, którzy znaleźli się w tem samem, co i on, położeniu, radzili jakoś sobie. Chodzili od komitetu do komitetu, od stowarzyszenia do stowarzyszenia, szukając pomocy, ale Gilewski nie umiał tego robić, nie wiedział nawet, jak się do tego zabrać. Uparł się przebiedować i przecierpieć ten czas o własnych siłach. Całe życie swoje pracował ciężko, z zaparciem się własnych rojeń i wierzeń, żebrać i prosić nie umiał.

Zaczął szukać pracy, jakiejkolwiek pracy. Znaleźć jednak tę pracę było mu bardzo trudno. Dla jednych był za starym, w innem miejscu przeszkadzała mu w otrzymaniu roboty nieznajomość języka czeskiego lub niemieckiego, gdzieindziej znowu pytano go:

— Vyš-te uprchlik?

— Tak jest, musiałem opuścić kraj, szukam pracy... Będę się starał...

Przeczące wstrząśnienie głową przerywało dalsze zapewnienie.

— Neni třeba — brzmiała odpowiedź.

I Gilewski odchodził, aby zacząć poszukiwania na nowo, gdzieindziej.

Po długich zabiegach udało mu się wreszcie otrzymać od pewnej firmy wydawniczej kartki do rozprzedaży i wtedy zaczęła się dla niego żmudna, ustawiczna wędrówka po bruku praskim.

Chodził od sklepu do sklepu, z jednej dzielnicy miasta w drugą, choćby najbardziej oddaloną, byle tylko zdobyć ów marny zarobek groszowy, byle przeżyć, przetrwać te najcięższe czasy.

Obijało mu się nieraz o uszy, że niektórzy towarzysze niedoli wychodźczej korzystali z bezpłatnych obiadów, podwieczorków, kolacyi i pieniężnych zapomóg.

Nie przyszło mu jednak na myśl, że on mógłby starać się także o jakieś ulgi, że miałby większe prawo do tego, aniżeli inni, bo jest stary i zmęczony, ach! tak bardzo zmęczony.

Chodził przecież niezmordowanie, z głową spuszczoną, z plecami przygarbionemi i sprzedawał kartki. Czasem zarobił na całodzienne życie. Ale dzisiaj nie poszczęściło mu się stanowczo, nie sprzedał nic i nie miał w kieszeni ani halerza.

Ostatnie kilka koron musiał wczoraj oddać gospodyni za mieszkanie, za nędzny kąt do spania, który odnajmował w dusznej kuchence.

Wysoka, o imponującej tuszy mieszczka praska zażądała od niego stanowczo, aby natychmiast uiścił się z długu, bo ona niema zamiaru mu kredytować.

Zapłacił i dzisiaj nie jadł obiadu, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie także mógł zjeść i kolacyi.

Przechodził właśnie koło przenośnego piecyka, który ustawił na rogu ulicy przekupień gorących „würstli".

Gilewski wciągnął w siebie parę, wydobywającą się z piecyka. Zapach ciepłych kiełbasek podrażnił go silnie. Starego zamdliło jakoś dziwnie, poczuł, że jest głodny, bardzo głodny, przypomniał sobie, że on dzisiaj nic prawie nie jadł.

Z jakąż rozkoszą zatopiłby zęby w ciepłych, soczystych kiełbaskach.

Usiłował opanować się, nie myśleć o głodzie i jedzeniu.

Chciał zająć umysł oglądaniem wystaw sklepowych, ale, jakby na ironię, na urągowisko, oczy jego padały co chwila na szyby wystawowe piekarni, wędliniarni, cukierni, sklepów z delikatesami i t. p.

Drzwi restauracyi otwarły się. Zmieszana woń piwa i smażonego mięsa podrażniła znowu podniebienie Gilewskiego. Ślina napłynęła mu obficie do ust. Jakby magnetyczną siłą jakąś pociągnięty, zatrzymał się przed oknem wystawowem wędliniarni.

Uśmiechały się do niego różowe szynki, nęciły go zwoje kiełbas, drażniły umiejętnie pokrajane i ułożone kawałki surowego mięsa.

Stał i patrzał i coraz szybciej przełykał ślinę, nerwowo mrugając powiekami.

Z trudem oderwał wzrok od wystawy z wędlinami i powlókł się dalej, usiłując nie patrzeć na okrągłe, dobrze wypieczone bochenki chleba, smakowite „buchty", przekładane makiem lub powidłami, odwracał oczy od tłustych śledzi i ryb wędzonych, omijał wzrokiem biało-różowe jabłka, złote pomarańcze, zielono złociste winogrona.

Kierował się ku taniej „kuchni" polskiej.

Nie zarobił dzisiaj wprawdzie nawet na szklankę herbaty, ale chciał przynajmniej posiedzieć w cieple, popatrzyć na swoich, nasłuchać się polskiej mowy.

A może ktoś kupi choć kilka kartek?...

Starał się pocieszyć choć tą myślą, że nie jest zmuszony wracać teraz do swego „kąta", do dusznej, przesyconej zapachem gotującego się jadła kuchenki, do swarliwej gospodyni, która niechętnie i z ironicznem politowaniem patrzyła na niego.

Wszedł do „kuchni". Na wstępie zaraz owiał go zapach ciepłych kiełbasek, które wydobywała z kociołka dyżurująca panienka.

Odwrócił się i podreptał na drugi koniec sali, aby być jak najdalej od stołu, na którym piętrzyły się stosy nakrajanych kromek chleba i stały miski żółciutkiego masła, śnieżno-białej „bryndzy", ciemnoczerwonej marmolady.

Wcisnął się w kąt pod oknem i postawił przed sobą na stole otwarte pudełko z kartkami.

Miał jeszcze słabą nadzieję, że może ktoś zauważy kartki, zainteresuje się niemi, zechce zobaczyć i kupi coś.

Na to, by zaczepić kogoś, namawiać do kupna, nie miał już dzisiaj odwagi i siły.

Cicho siedział w swoim kącie i z pod napuchłych, zaczerwionych powiek spoglądał na salę.

Musiał jednak co chwila odwracać oczy, bo drażnił go widok rozmaitego jedzenia.

Tuż opodal Gilewskiego usiadło kilku młodziutkich uczniów gimnazyalnych.

Chłopcy z iście młodzieńczym apetytem spożywali podwieczorek, a jeden z nich wyraził głośno pochwałę, że „würstle" są dzisiaj „extra-extra".

Gilewski odsunął się nieco dalej.

Coś go dławiło za gardło, do obolałych oczu napływały piekące łzy.

Jakto? Czyżby on zazdrościł tym chłopcom ich skromnych kęsków?!

Więc to doprawdy on, Andrzej Gilewski, pożera oczyma kawałek chleba, który ktoś inny do ust wkłada?!

Nie! nie! Do takiego upodlenia nie doszedł jeszcze! Czyż to raz w życiu bywał głodny, a jednak nie zazdrościł nikomu, nie pragnął nikomu wydzierać kęsa z ust... Bywało tak nieraz, ale wtedy był młodszy, miał więcej sił i nadziei, a dzisiaj stary, wyczerpany organizm domaga się posiłku, koniecznie posiłku, który podtrzymałby upadające siły...

W tej chwili ogarnął go lęk.

Co będzie, jeśli zachoruje... On nie chce umrzeć tutaj, w Pradze, gdzieś w szpitalu, na obcej ziemi... Nie! Trzeba być zdrowym, trzeba się trzymać!... Koniecznie... koniecznie... do powrotu.

Gilewski wziął gazetę, sam dobrze nie wiedział jaką i chciał czytać. Usiłował wmówić w siebie, że wiadomości dziennikarskie interesują go w tej chwili bardzo — daleko więcej, aniżeli ta pani, która usiadła niedaleko, rozłożyła wędliny w papierze, nakłada mięsem kromki chleba i je, zapijając herbatą. Co go to właściwie obchodzi, że ludzie wokół niego jedzą, jedzą i jedzą... Chciał czytać, ale nie mógł — nie rozumiał ani słowa, litery tańczyły mu przed oczyma, przybierając kształty pulchnych bułeczek, pękatych serdelków, podłużnych kiełbasek i t. p.

Jak długo tak siedział z gazetą w ręku — nie umiałby tego określić.

Ocknął się dopiero wtedy, kiedy zatrzymała się przed nim z tacką w ręku Anielka Żurakowska.

Niosła szklankę herbaty z mlekiem, kilka posmarowanych kromek chleba i talerzyk z dwiema parkami kiełbasek.

Na twarzy miała mocne wypieki i spoglądała na starego nieśmiało, trwożliwie, błagalnie... Wszystko, co niosła, postawiła, drżąc cała ze wzruszenia przed Gilewskim i wzniosła ku niemu swoje szafirowe oczy z niemą prośbą.

Stary spoglądał zdumiony, nie rozumiejąc — podrażniony do najwyższego stopnia jadłem, które niespodzianie wykwitło przed nim, jakby piekielna jakaś pokusa dla wygłodzonego żołądka.

— Może... może... — zaczęła Anielka, szukając słów dla wypowiedzenia swojej prośby — może pan będzie łaskaw... zjeść podwieczorek...

Staremu artyście krew falą uderzyła do głowy. Zrozumiał.

Wyprostował się nagle, na znękaną twarz jego wystąpił wyraz dumy i chłodu.

Jakto więc on tak nie umiał zapanować nad sobą, nad wyrazem swej twarzy, że ta dziewczyna wyczytała mu z oczu pożądliwość jedzenia i przyniosła mu jałmużnę?!

Nie! Gilewski jałmużny nie brał nigdy i na stare lata jej nie weźmie!

Odparł więc zimno:

— Przepraszam panią, ale to pomyłka... Nie prosiłem o nic... Nie jestem w tej chwili głodny...

Anielka nie wyglądała jednak wcale na kogoś, kto przyszedł ofiarować jałmużnę lub wyświadczyć jakąś łaskę... W oczach miała prośbę bezmierną, pokorę dziwną, nieśmiałość trwożliwą i głębokie zawstydzenie...

Dziewczyna od dłuższego czasu obserwowała Gilewskiego. Zainteresowała ją jego znękana, zmęczona twarz o rysach szlachetnych, twarz człowieka o wyższej wartości. Śledziła go uważnie i pochwyciła jego spojrzenia nerwowe, urwane, niespokojne ruchy, bolesne skurcze twarzy, a w zaczerwienionych oczach starego wyczytała rzecz nieznaną sobie, rzecz straszną, o której słyszała tylko, czytała nieraz, że ona być na świecie może — wyczytała w jego twarzy głód.

I przeraziła się, a przedewszystkiem zawstydziła. Poczuła palący wstyd za siebie, za ciotkę, za tych wszystkich, którzy chodzili syci, podczas gdy ten stary człowiek z szlachetną, myślącą twarzą, musiał cierpieć.

Kiedy, zebrawszy całą swoją odwagę, skierowała się z zastawioną tacką ku Gilewskiemu — szła jak winowajczyni — pokorna i żądna przebaczenia... Nie wiedziała, jakiemi słowami ma przemówić do niego, aby go skłonić do przyjęcia tego, co mu tak nieśmiało w poczuciu własnej i całego społeczeństwa winy — ofiarowywała. Prosiła bez słów o przebaczenie...

A teraz on ją odtrąca... Nie zechce zjeść i wyjdzie stąd głodny, jak przyszedł... Musiała go obrazić, postąpiła brutalnie, niedelikatnie...

— Boże! Boże! Jak go przeprosić, ubłagać, jak przemówić do niego? — zaczęła się dręczyć. Ustąpić nie chciała i nie mogła...

— Proszę pana... proszę... bardzo proszę...

Więcej mówić nie mogła, łzy dławiły jej głos.

Gilewski spoglądał na nią uważnie i twarz jego łagodniała powoli. Odczuł, że odmawiając, wyrządziłby dotkliwą przykrość tej dziewczynie o jasnem spojrzeniu, upokorzyłby ją głęboko, zranił szlachetne serce. Opanował się i odpowiedział krótko z serdecznym jakimś akcentem w głosie:

— Dziękuję pani.

Oczy Anielki trysnęły snopem radosnych świateł. Ucieszona, że drażliwa kwestya już załatwiona, usiadła przy Gilewskim i pospiesznie skierowała rozmowę na inny temat. Pudełko z kartkami zwróciło jej uwagę.

— Co to? — zapytała.

— To są kartki, które sprzedaję! — odparł z pewnem wahaniem Gilewski — Reprodukcye sztuki polskiej i czeskiej...

— Doprawdy?! Czy można obejrzeć? Jestem ogromną miłośniczką artystycznych kartek — zapewniała Anielka — w domu mam całe stosy albumów i ciągle kompletuję moją kolekcyę...

Gilewski podał jej pudełko. Anielka zaczęła oglądać kartki, głośno zachwycając się pięknością niektórych. Zwróciło to uwagę kilku innych osób, to też wkrótce przy pudełku z kartkami skupiła się mała gromadka.

Oglądano reprodukcye, porównując szkoły malarskie i poszczególnych malarzy, chwaląc lub ganiąc rozmaite szczegóły zarówno w samym pomyśle obrazu, jak w wykonaniu reprodukcyi.

Gilewski zaczął jeść. Przy pierwszym kęsie, który włożył do ust, zapomniał o wszystkiem co się wokół niego działo. Zapomniał o Anielce, o kartkach, o otaczających go osobach, wreszcie o świecie całym. Odczuwał w tej chwili tylko zwierzęcą, bezmyślną rozkosz nasycenia wygłodzonego żołądka i dopiero kiedy zaspokoił pierwszy głód, opamiętał się i zaczął brać udział w rozmowie.

Ożywił się, oczy zabłysły mu jakiemś światłem, które promieniowało gdzieś z głębi.

Uwagi jego na temat kartek, malarzy, kierunków w sztuce wskazywały, że człowiek ten kochał, czuł i rozumiał sztukę, a najmniej nawet domyślny mógł odgadnąć, że nie zawsze musiał być przekupniem kartek i że młodości jego inne przyświecały gwiazdy.

W krótkim czasie rozkupiono przeszło sto kartek i Gilewski, zgarniając pieniądze, odetchnął z ulgą. Jutro i pojutrze miał zapewniony ciepły obiad.

Powoli zainteresowanie, które na chwilę skupiło się wokół osoby Gilewskiego i jego kartek osłabło. Kupujący kartki odeszli, a nawet Anielka, pożegnawszy starego serdecznie, oddaliła się, bo wzywały ją obowiązki dyżurnej.

Gilewski znowu został sam.

ROZDZIAŁ XI.

Pani Krystyna ożywiona, odmłodzona, z wesołymi błyskami w oczach, szła spiesznie przez ulicę, zwracając mniejszą niż zwykle uwagę na stroje przechodzących pań i eleganckie wystawy sklepów z nowościami mody przedwiosennej.

Od rana zakupywała rozmaite rzeczy dla „swoich“ rannych, jak ich nazywała. Była już w trafice i w sklepach spożywczych, zakupiła stosy sucharków, ciastek, cukierków i kazała odesłać sobie do domu kosz wina, zaopatrzyła się w rozmaite inne przysmaki i drobiazgi, które mogłyby sprawić, jej zdaniem, przyjemność chorym żołnierzom. Nie zapomniała nawet o kartach do gry i szachach, o których na odchodnem wspomniała jej wczoraj pielęgniarka.

Teraz spieszyła do księgarni, w której były polskie książki na składzie.

— Całuję rączki pani dobrodziejce, padam do nóżek! Dokąd tak spieszno, jeżeli wolno być ciekawym?

Pani Krystyna, wyrwana z koła swych myśli, drgnęła i odwróciła głowę.

Ucieszyła się, zobaczywszy Potyrowskiego.

— Ach! Jak to dobrze, że pana spotykam, panie Alfredzie... Prawda, że zechce pan być mi pomocnym?

— O! pani, czy może pani pytać... W ostatnich czasach rzadko i krótko tylko mam szczęście widywać panią... Znika pani, porwana przez wir towarzyski i zapomina o wiernych, oddanych przyjaciołach...

Ostatnie słowa Potyrowskiego przeszły mimo uwagi pani Krystyny. Impulsywna kobieta jeden widziała w tej chwili cel przed sobą, a Potyrowski przedstawiał się jej jako pożądany, użyteczny pomocnik.

— Panie Alfredzie, wiem że z pana znawca literatury, a przytem subtelny psycholog, który zna do głębi naturę ludzką..

Potyrowski skłonił się nizko. Oczy błysnęły mu zadowoleniem, chociaż nie wiedział, do czego właściwie te pochlebne słowa zmierzają. Przez głowę przemknęła mu błyskawicą szalona, radosna myśl, że pani Krystyna chce może wbrew wszelkim konwenansom światowym i towarzyskim wyznać mu swoje ukrywane dotąd uczucia i zaczyna od tak ogólnikowego wstępu.

Dalsze jednak słowa pani Wolskiej rozwiały natychmiast to złudzenie.

— Sądzę, że pan może mi służyć radą i pomocą, której w tej chwili potrzebuję! — kończyła pani Krystyna — Idę do księgarni... Chcę zakupić dużo książek rozmaitej treści... Mają to być i jakieś rzeczy wesołe, humorystyczne i miłosne, powieści i poezye, mogą być także jakieś historyczne opowiadania, żołnierskie obrazki z bieżącej chwili, wreszcie lżejsze rozprawki naukowe...

Potyrowski osłupiał ze zdumienia.

— Ależ, pani dobrodziejko — po co to wszystko?!

— Aha! Prawda, że pan nie wie o niczem!... Boże! Jaka ja roztargniona! Trzeba mi było odrazu zacząć od początku! Otóż, krótko mówiąc, postawiłam sobie od wczoraj za cel mego pobytu w Pradze opiekę nad naszymi polskimi chorymi i rannymi żołnierzami... Oni tacy samotni tutaj, tacy biedni, a nam przecie najbliżsi. Prawda, panie Alfredzie, pan mnie rozumie? Zechce mi pan być pomocnym w spełnieniu tego trudnego zadania! Byłam już w kilku sklepach, nakupiłam rozmaitych drobiazgów, żeby sprawić tym naszym kochanym biedakom jakąś chwilę przyjemności, żeby dać im dowód, że my, ci, którzy zostaliśmy, kochamy ich, pamiętamy o nich... Ale teraz najważniejsza rzecz, książki... Oni pragną polskiej lektury, tęsknią za słowem polskiem... Ja chciałabym zrobić dobry wybór, żeby dogodzić rozmaitym umysłom, odmiennym upodobaniom i usposobieniom...

Pani Krystyna mówiła jednym tchem, nie zwracając żadnej uwagi na minę, jaką w tej chwili miał Potyrowski.

On, tak doskonale umiejący zwykle ukrywać swoje wrażenia, nie zdołał tym razem opanować się na tyle, aby na twarzy jego nie odmalowały się uczucia bezsilnej złości, zawodu, zdumienia.

Z błyskawiczną szybkością uświadomił sobie, ile to pieniędzy wydać musiała pani Krystyna na rzeczy, z których on nie mógł wyciągnąć żadnej dla siebie korzyści.

Ogarnął go taki niepohamowany gniew, jak gdyby pani Wolska okradła go z jego własnego majątku.

Do tego stopnia był wytrącony z równowagi, że omal nie krzyknął głośno:

— Co tej zwaryowanej babie strzeliło znowu do łba?! Wściekła się, czy co?!

Potyrowski od dłuższego czasu czuł, że bogata wdowa wymyka mu się z rąk, omijając zręcznie sidła, które na nią zastawił. Targał nim bezsilny gniew, że mógł się tak zawieść i pomylić w swoich rachubach, które zdawały mu się matematycznie pewnemi.

Coraz fatalniejsze materyalne położenie doprowadzało Potyrowskiego do napadów szaleństwa poprostu.

Zorganizowana samopomoc społeczna dla uchodźców wytrącała Potyrowskiemu z rąk jedyny środek jego utrzymania, zbieranie składek na „biednych“.

Potyrowski miał wprawdzie jeszcze swoje „ofiary“, w tem kilka zamożnych, naiwnych kobiet, ale ta „filantropijna akcya“ szła coraz oporniej, trzeba było zadowalać się najmniejszemi kwotami i ograniczać się w wydatkach.

Potyrowski zmuszony był zmienić swoje eleganckie mieszkanie na bardzo skromny pokoik w brudnej oficynie.

Cicha, pokorna Antoniowa zaczynała nabierać śmiałości i oświadczyła kilkakrotnie Potyrowskiemu, że nie myśli dłużej odgrywać roli jego sługi i przymierać z dziećmi z głodu. Dotychczas udawało mu się jeszcze zawsze poskramiać ją pogróżkami, ale czuł, że to może urwać się lada dzień.

Na domiar złego Ignac nie opuszczał go, przyczepił się do niego jak pijawka, wyciskał z niego ostatnie pieniądze i coraz częściej pytał niecierpliwie i szyderczo:

— No cóż tam z tą wdową?! Kiedy ślub?!

Potyrowski czuł, że do celu swego nie zbliża się, lecz oddala się od niego. Nie tracił jednak nadziei. Spostrzegł, że pani Krystyna zaczyna nudzić się w Pradze, obmyślał już więc sposoby wykorzystania tego chwilowego usposobienia.

Aż tu nagle taka niespodzianka! Ranni żołnierze! I znudzenia, melancholii ani śladu! Tkliwego powiernika, który mógłby grać na strunach rozkapryszonej duszyczki kobiecej nie potrzeba — nie! Teraz pani Krystyna pragnie tylko doradcy, który pomagałby jej wyrzucać pieniądze „za okno“.

Potyrowski zacisnął zęby z gniewu.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Z drugiej brygady Legionów: Studnia za okopami.

Zgon autora „Szkiców syberyjskich".

Zdala od kraju rodzinnego, w Moskwie, gdzie zaskoczyły go wypadki wojenne, zmarł niezapomniany autor Szkiców syberyjskich, ś. p. Adam Szymański. — Spuścizna literacka po nim nie jest może zbyt obfitą, nazwisko jego przecież zajmuje jedno z najpoczestniejszych miejsc w dziejach polskiego piśmiennictwa. Smiało można powiedzieć, że w latach ośmdziesiątych obok Sienkiewicza i Prusa był to najpopularniejszy autor, którego utwory czytano wszędzie i po prostu wyrywano sobie z rąk. Całą niemal duszę włożył ś. p. Szymański w pierwsze swoje szkice, twórczość jego wyczerpała się rychło i znakomity autor zamilkł, aby dopiero po dwudziestu latach przypomnieć się ogółowi swą „Lechią moskiewską".

Urodzony w roku 1852, po ukończeniu studyów średnich i uniwersyteckich zmuszony był opuścić rodzinną ziemię, zesłany na wygnanie za udział w spisku patryotycznym w czasie wojny turecko-rosyjskiej. Po powrocie do kraju, zabawiwszy krótki czas w Warszawie, przeniósł się do Krakowa, gdzie zamieszkał stale dla wykształcenia jedynego syna. Zajęły go wówczas żywo sprawy szkolnictwa i wychowania a piękną w tej dziedzinie kartą usiłowań i dociekań pozostaną na zawsze roczniki „Reformy szkolnej", którą założył i przez szereg lat z zamiłowaniem prowadził.

Wybuch obecnej wojny zastał go na wakacyach w Moskwie, gdzie go też niespodziewanie i śmierć zaskoczyła.

Cześć Jego pamięci!



Zgon autora „Szkiców syberyjskich": Zmarły w Moskwie ś. p. Adam Szymański

Z drugiej brygady Legionów.

W okopach, w kwietniu.

A że w życiu żołnierzy nigdy wielkich zmian niema, więc też, chociaż święta były za pasem, nie odczuwaliśmy tego świętalnego tygodnia tak mocno, jak to bywało za dobrych, dawnych czasów. Odcinek ten sam, a więc i służba ta sama. Przygotowania jednak były, bo w chwilach wolnych od zajęć żołnierze w plutonach, pod karabinem i w ładownicach, jako, że i to służba, szli do „kasyna" oficerskiego (obszerniejszej ziemianki), gdzie ks. kapelan Antosz słuchał spowiedzi, rozgrzeszenia dając biednym, stroskanym sercom Legionistów.

Wieczorami po ziemiankach, przy świecy czasami, a tak przy błysku płomieni okopowych piecyków, pisaliśmy stosy kartek do tych, którzy pozostali jeszcze w domu i na roli, blizkich i serdecznych. Szły życzenia proste, nie wyszukanemi wyrazami pisane. W okopach za dnia, w czasie służby, między jednym posterunkiem a drugim, wspominano zeszłoroczne święta, spędzone w wagonach kolejowych, a więc smutniejsze, niżli obecne, następnie się szło w burzany nad Prutem, rozsiadłe ku dniestrzańskim progom. Tego roku późno przypadające święta i wiosna, z niemi idąca, zastały nas wśród borów, dróg błotnistych i wysp piasku miałkiego.

Wspominano lata całe, chociaż czasem tak niewiele tych wiosen przeszło w życiu Legionisty.



Z drugiej brygady Legionów: Obiad na pozycyi.





Wedeta. Z drugiej brygady Legionów: Okopy.



Z walk na wschodnim froncie: Niewybuchły pocisk miny rosyjskiej (Fot. Schaller)



Z drugiej brygady Legionów: Poobiedna siesta





Klęska Włochów: Głośne z walk na południowym froncie miejscowości: St. Michele, St. Martino, Doberdo i Monte de Bussi

W wielką sobotę po południu z wyjątkiem tych, którym służba wypadła, pozostali w ziemiankach, a żórawie naszych studzienek skrzypiały raz w raz, tak się brać żołnierska myła, szorowała, a nawet prasowało się mundury, robiąc z łusek szrapnelowych żelazka. Bo i czegóż Legionista nie wymyśli!

Wieczorem, chociaż to kilkadziesiąt kroków od nas, z trudem dowlókł się major Mężyński, a że to niejednemu dobrotliwe ręce paczkę z podarunkami przesłały, więc u podpor. Kmiotka, w ziemiance, otworzyliśmy pierwszą flaszkę jakiegoś napitku, życząc wzajem:

— No, zdrów! Abyśmy na przyszły rok — rozumiesz!

Smieje się Dziadek i Bomba, wybuchają salwy śmiechu po każdym „kawale“ naszego majora.

Za wszelką cenę trzeba iść spać, bo w niedzielę ledwie świt już zbiórka i raport, a o ósmej godzinie, wśród czworoboku kompanii, o parę kroków za okopami ks. Antosz mszę św. odprawia, a gramy, bo po raz pierwszy występuje nasza orkiestra dęta. I życzy nam kapelan na ręce pułkownika Januszajtisa, ażeby to Zmartwychwstanie nie tylko dla nas przyszło, ale dla Niej... i absolucyi udziela ogólnej. Chylą się żołnierskie głowy.

Schodzą biedacy przez oba święta, z ziemianki do ziemianki, o niesamowitych humorach, tak, iż z niejednym słowa zamienić nie można, wszystko złe i gorzkie, jak czarna kawa nasza.

Takie były święta nasze. Moskale strzelali tyle, ile przepisane było, nawet próbowali pertraktacyi, ale, że starali się przejść przez spalony most, po którym chodzić nie wolno, więc ich artylerya nasza spędziła. Zdawało się, iż święta nic nie przyniosą nowego prócz skromnych ilościowo podarków, które starym zwyczajem do innej powędrowały Brygady, gdy nagle rozeszła się wiadomość, iż nas ma zluzować I. Brygada. Mieliśmy bitwy, dekoracyę, zmiany frontu, translokacyę, ale odpoczynku nigdy — a że u nas wiele rzeczy jest „podobno“, więc i temu nie dawano wiary, póki nie odczytano rozkazu, po którym nagle żal nam się zrobiło naszych okopów, wedet, placówek, ziemianek.

Przyszli nasi koledzy. Padły słowa komendy, ostatnie spojrzenia na miejsce sześciomiesięcznych walk i trudów — i w lasy piaszczyste.

Koło północy biwak, a rano ze świtem pobudka i na leśnej polanie, po tak długiem niewidzeniu zobaczyliśmy II. Brygadę w całości. Gen Puchalski w towarzystwie szefa kap. Zagórskiego i Dzwonkowskiego rozdzielił przyznane drugiemu pułkowi medale,



Z drugiej brygady Legionów: Na pozycyi.



Klęska Włochów: Rozsadzanie skał na południowym froncie.

a było tego sporo, bo są plutony, w których żołnierze już po trzeci raz dekorowani.

Błyszczało srebro na piersiach w czasie defilady.

Takie było pożegnanie się nasze ze staremi po-





Klęska Włochów: Austro-węgierska piekarnia polowa na południowym froncie Jeńcy rosyjscy, zatrudnieni przy armii austro-węgierskiej na południowym froncie.

zycyami. Ruszyliśmy wśród spiekoty piachami — na odpoczynek. Zdala widać rozległą wieś.

A. Grzyb.

Klęska Włochów.

Wojna obecna przyniosła znowu niespodziankę — tym razem bardzo dotkliwą dla Włochów — i to właśnie w rocznicę wypowiedzenia przez nich wojny Austryi. Tą niespodzianką, która znowu wprawiła świat w zdumienie, jest ofenzywa austro węgierska na południowym froncie. Zaskoczyła ona nieprzyjaciela, a osiągnęła sukces wprost niebywały. W ciagu dwóch tygodni armia austro-węgierska nietylko wyparła Włochów z wąskiego pasa terytoryum austryackiego, gdzie cały rok ponosili olbrzymie ofiary w bezskutecznych ofenzywach, ale zdołała zająć kilkaset kilometrów ziemi włoskiej! W tym krótkim okresie czasu zdobyła szereg fortów włoskich i, jak się zdawało, niezdobyte szczyty i przejścia górskie, tak, iż dziś armia austryacka, która w tak trudnych warunkach zdołała przełamać front włoski, stanęła już u skraju gór alpejskich i zagraża równinom włoskim!

Ten niezwykły sukces uwydatnia się należycie, gdy uprzytomnimy sobie przebieg całorocznej wojny austro włoskiej. Włosi nie szczędzili ofiar i podejmowali wciąż gwałtowne ataki na obronne linie austro-węgierskie, lecz wszystkie te wysiłki były zajzupełniej daremne. Zdawało się też, że walka na terenie alpejskim pozostanie nierozstrzygniętą, że ufortyfikowany teren górski (zarówno z jednej strony, jak i z drugiej) jest nie do zdobycia... Tymczasem stało się inaczej. W dwa tygodnie armia austro-węgierska sforsowała naturalne i sztuczne przeszkody alpejskie i stanęła u bram Włoch, gotowa do wymierzenia ostatecznego ciosu...

Taką niespodziankę przyniosła rocznica wojny włosko austryackiej.

Ojców w czasie wojny.

Pożoga wojenna, która ogarnęła niemal całą ziemię polską, nie ominęła także i Ojcowa, jednego



Klęska Włochów: Placówka austro-węgierska pod wodospadem w Tyrolu



Z walk na wschodnim froncie: Żołnierz austryacki, rzucający pocisk ręczny. (Fot K Schaller).



Ojców w czasie wojny: Willa (hotel) „Polska Szwajcarya“ pod grotą „Koziarnia“.



Ojców w czasie wojny: Willa „Polska Szwajcarya“ (front południowy).

z najpiękniejszych zakątków Polski, zwanego słusznie „polską Szwajcaryą“. Dziś, gdy umilkły już tam działa i na zajętych terenach Królestwa Polskiego zaczynają powracać normalne stosunki, warto wspomnieć i o tem pięknem letnisku, które teraz, po zniesieniu słupów granicznych, jest bardziej przystępnem, niż dawniej. Przypomni go niewątpliwie zapowiedziana tam w grocie „Koziarnia“ zabawa, która ma być urządzona na głodnych w dniu 11-go czerwca.

Ojców, położony na przedgórzach Karpat, nad rzeką Prądnikiem w Kieleckiem, odległy jest od stacyi kolejowej Olkusz o wiorst ośmnaście, a od miasta Krakowa, drogą kołową przez byłą granicę rosyjską w Szycach, również o wiorst ośmnaście.

Była tu warownia za czasów Bolesława Krzywoustego. W zwaliskach tej warowni i grotach skał chronił się przed Czechami Władysław Łokietek pomiędzy rokiem 1290 a 1300. Syn jego, Kazimierz Wielki, wybudował tu zamek na stromej skale i nazwał go na tę pamiątkę Ojcowem. Zamek ten, odrestaurowany przez hr. Przeździecką, w roku 1873 został znowu zrujnowany.

Malownicze położenie Ojcowa i doliny Sąspowskiej zachwyca tysiące turystów, zwiedzających tutejszą okolicę.

Najlepszym punktem obserwacyjnym dla doliny Sąspowskiej jest płaski szczyt potężnej skały, w której znajduje się słynna grota „Koziarnia“ z salą balową. Stąd jednym rzutem oka obejmuje się cały przecudny krajobraz doliny i okolicy, olbrzymy skalne, przystrojone wieńcem świerków i jodeł, wyglądają jak zamki bajeczne; wszędzie, gdzie spojrzeć, stosy zieleni i kwiecia, zewsząd bije czar przyrody.

Historyczna grota „Koziarnia“ ma wspaniałe wejście (siedmnaście łokci szerokie), wysokie i piękne sklepienie, oraz dwie komory ciemne. Dostęp do groty pod górę wcale nie jest trudny, tembardziej, że ułatwiają go specyalnie urządzone schody. Kiedyś, w świetnych czasach, rozlegały się tu hołupce naszego dziarskiego mazura podczas balów, wyprawianych w niej przez książąt i hrabiów pieskoskalskich, ówczesnych właścicieli „Koziarni“.

Znajdywane w namuliskach tej groty różne szczątki mamutów i innych nieznanych w obecnym czasie dyluwialnych potworów, jak również wyroby z kamienia, z rogu i kości, świadczą, że w przeciągu wielu tysięcy lat była ona schroniskiem dzikich zwierząt, potem wydarł ją im człowiek jaskiniowy (tryglodyta) i sam w niej zamieszkał.

Gdy geniusz ludzki zrobił postęp w wynalazkach względem polepszenia gospodarstwa domowego, grota powróciła w posiadanie dzikich kóz, które obdarzyły ją obecną nazwą, a człowiek zbudował sobie domek, podług własnych wymagań.

Budowa rąk ludzkich dosięga wprawdzie szczytu doskonałości pod względem piękna, wygód i hygieny, lecz jakże nikłą pianką wydaje się wobec dzieła przyrody: gdy podczas wojny wszechświatowej w roku 1914 setki miast i miasteczek runęły w gruzy, nad „Koziarnią“ pięć tygodni ryczały działa, rwały się granaty, uderzając o jej kamienne ściany, a jednak nie pozostawiły po sobie żadnych śladów uszkodzenia. To też zebrani w niej okoliczni mieszkańcy spokojnie oczekiwali końca kanonady.

Rozrzewniający widok przedstawiała grota w oświetleniu łuny poblizkich pożarów, gdy, wśród huku dział i wojennej wrzawy, trwożliwe niewiasty i dziatwa, tuląc się do siebie i zalewając się łzami, intonowały głosem drżącym błagalne pienia: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“...



Ojców w czasie wojny: Grota „Koziarnia“, w której ukrywała się miejscowa ludność podczas walk pod Ojcowem w listopadzie 1914 r.

Olbrzym skalny rozpostarł nad niemi herkulesowe swe ramiona i, jak z arki Noego, wszyscy oni wyszli z groty cali i zdrowi, uradowani, że nareszcie owe złowrogie tygodnie zniszczenia i śmierci już minęły. Naprzód ruszyły krówki, koniki, za niemi ludek wiejski, dźwigając na plecach tobołki, a w nich ocalone swe mienie.

To miłe ustronie, tak błogie dla umysłów strudzonych mozolną pracą, dla nerwów rozstrojonych i dusz skołatanych w zapasach z życiem, oprócz domków włościańskich, posiada również willę (hotel) „Polską Szwajcaryę“, niedawno wzniesioną nad strumykiem Sąspówką.

„Polska Szwajcarya“, ze względu na otaczające ją bogactwo przyrody, w zupełności usprawiedliwia swą nazwę; ponadto można ją zaliczyć do rzadkich okazów budownictwa: od strony północnej wchodzi się do ręcznie wykutego w skale tunelu dwadzieścia pięć łokci długości; na razie ma się wrażenie, że schodzi się do ciemnej, podziemnej jaskini, tymczasem po kamiennych schodach wychodzi się bezpośrednio do zalanej wprost potokami słońca willi, skąd roztacza się wspaniały widok na południową stronę doliny Sąspowskiej.

Południowy front willi składa się z parteru i trzech piątr, północny zaś — z parteru (na wysokości drugiego piętra południowego) i tylko jednego piętra (trzeciego), południowy parter i pierwsze piętro zasłania od północy taras skalny o powierzchni przeszło dwieście łokci kwadratowych, tworząc dla północnego frontu naturalną, wyjątkowo uroczą werandę.

Oryginalna ta budowa, oprócz wielu innych zalet, daje i ten niebywały sukces, że lokator, zajmując na drugiem piętrze dwa pokoje równoległe, mieszka jednocześnie i na parterze i na drugiem piętrze.

Emer.





Ze szpitalnictwa wojskowego: Praca, zabawa i odpoczynek w szpitalu S. S. Franciszkanek w Pradze.

1) Radca dr. Pohorecki, 2) siostra hr. Taffé, 3) instruktor robót Siwak. — Ranni na wolnem powietrzu.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

4

Ale zaledwie wyrzekł te słowa, kiedy przerwał, jak gdyby wylękniony ich brzmieniem i spojrzał nieśmiało na bankiera, upatrując na jego twarzy znaku zniecierpliwienia, lub też ironicznego uśmiechu. Ale żadne z tych uczuć nie ujawniło się w zachowaniu pana Versigny. Pochylił tylko głowę na znak, że zrozumiał i czeka słów dalszych. Widząc jednak, że Włodzimierz Guzow milczy dalej uporczywie, odezwał się poważnie:

— To jest bardzo interesujące. No, dalej, panie Guzow, objaśnij mi lepiej tę rzecz.

I wtedy młody człowiek mówić zaczął. Rozpoczął od życia swojego, powiedział, że pochodzi z Kaługi, gdzie ojciec jego był popem. Wysłany na naukę do Moskwy, ukończył tam wyższą szkołę i uniwersytet, zdradzając zawsze żywe zdolności i zamiłowanie do badań przyrodniczych.

W dwudziestym piątym roku życia wykładał już na uniwersytecie chemię organiczną. Pracował w czasie wyjątkowym, bo pośród zmagań rewolucyonistycznych, które wybuchły podczas wojny rosyjsko-japońskiej.

Włodzimierz Guzow był człowiekiem spokojnym, zatopionym w ulubionej swojej nauce, niezdolnym do czynów gwałtownych, jednakże byłby sam pogardzał sobą, gdyby nie brał udziału wraz z kolegami swoimi w osiągnięciu ich ideału wolności i swobody i gdy przystąpił do propagandy reform pewnych, mających na celu ulżenie nędzy ludu rosyjskiego — został uznany za niebezpiecznego człowieka w granicach swojego kraju.

Zaaresztowany wraz z dwudziestoma towarzyszami tego samego poglądu, wtrącony został do więzienia i stawiony przed sądem. Na szczęście Włodzimierz Guzow żył w przyjaznych stosunkach z woźnym uniwersytetu, tajnym konfidentem policyi rosyjskiej, którego córkę wyleczył z anemii i który wezwany jako świadek, wydał o nim pochlebne świadectwo.

Nie zasądzono go na śmierć, jak to uczyniono z jego kolegami, lecz deportowano na Syberyę do robót kopalnianych.

Włodzimierz Guzow pozostał tam trzy lata w Gursku, małem miasteczku, zagubionem wśród stepów malarycznych.

Początkowo użyty był, jak wszyscy więźniowie, do eksploatacyi w kopalni grafitu, dość licznego w tych stronach.

Pod nahajką kozaków, pełniących służbę dozorców — stał dziesięć godzin z rzędu, pogrążony do pół ciała w lodowatem błocie, wdychając trujące gazy, bijące ze źródeł i moczarów.

Zazwyczaj na czterech ludzi, zajętych przy takiej czynności, z końcem roku ginie trzech.

Guzow cieszył się wyjątkowo silną organizacyą ciała i nabawił się tylko na początku roku drugiego silnych bolów reumatycznych i febry, a że czyniono usilne starania, dla polepszenia mu bytu i w elektrowni Gurska brakowało właśnie operatora, przydzielony został na tę posadę.

Dzięki więc temu mógł dalej prowadzić rozpoczęte jeszcze w Moskwie badania naukowe o fabrykacyi dyamentów. Podjął kilkakrotne doświadczenia, wszystkie z jak najlepszym rezultatem.

Nareszcie, po jakimś czasie został ułaskawiony i dostał pozwolenie na pobyt w Petersburgu. Jednakże od tego czasu czuł się dziwnie przygnębionym w ojczystym kraju i postanowił udać się do Paryża. Miasto to nęciło go zawsze jako centrum cywilizacyi świata.

Obecnie przebywał w Paryżu już od trzech miesięcy w charakterze preparatora w laboratoryum chemicznem, gdzie mógł projekt swój udoskonalić i doprowadzić do pożądanego rezultatu.

Włodzimierz Guzow, kończąc to opowiadanie, wyciągnął stary portfel z kieszeni i z bocznej przegródki wyjął drobny kamyk o szorstkiej powłoce.

— Oto moja większa próba! — rzekł, podając skarb swój bankierowi Versigny — Nie jest jeszcze oszlifowany, ale choć w takim stanie nie różni się niczem od prawdziwych kamieni. Posiada wartość ośmiu do dziewięciuset franków. Przyznaję, że odkąd go mam w rękach, miałem kilkakrotną sposobność sprzedania go. Nie jestem bogaty — dodał śmiejąc się szczerze Guzow — wcale nie jestem bogaty, ale jednak sądziłem, że pierwszym tylko człowiekiem powinienem wynalazkiem moim podzielić się z kimś, nieprawdaż, panie Versigny?

Bankier długą chwilę ważył kamień na dłoni, przyglądając mu się z zajęciem.

— Pozwoli pan na jedno pytanie? — rzekł nagle —. Zaznaczam jednak, że wierzę w wiarogodność słów pana, chociaż zdarzało się, że najwięksi uczeni mylili się w swoich przypuszczeniach. — Oświadczył pan przed chwilą, że dyament ten posiada wartość blizko tysiąca franków. W takim razie więc, skoro w warunkach, w jakich się pan znajduje, jest pan w stanie wytworzyć więcej takich kamieni, a działa pan dalej sam, bez niczyjego współudziału, może pan w krótkim czasie stać się panem wielkiej fortuny!

Uśmiech rozjaśnił bladą twarz Włodzimierza Guzowa.

— Uwaga pana, panie Versigny, jest słuszna — odpowiedział z największą swobodą — a właściwie mogłaby być słuszną, gdybym nie żył i pracował w wyjątkowych okolicznościach. Przedewszystkiem pobyt mój na Syberyi wpłynął bardzo źle na moje zdrowie. Cierpię na silne duszności i bicia serca i życie moje jest niepewne. Muszę się spieszyć z mojem odkryciem. Niech tylko pan nie sądzi, że gram rolę ofiary losu, ale powtarzam panu, jestem naprawdę śmiertelnie dotknięty niezwalczoną chorobą. Jeden z moich przyjaciół, współziomków, doskonały lekarz, zaręczył mi tylko za rok życia. — Więc rozumie pan teraz, dlaczego nie mogę dalej sam działać i muszę powierzyć moją sprawę komuś drugiemu? Chcę jeszcze panu powiedzieć, że nie pracowałem z myślą o sobie. Niema we mnie ani chciwości, ani nazbyt wysokiej ambicyi. — Jestem uczonym, a nauka daje mi dotąd wszelkie zadowolenie. Tylko przekonawszy się, że marzenia moje realną przybierają postać, pomyślałem, że obowiązkiem moim jest użyć wynalazek mój do wyższych, szlachetniejszych celów. Pragnę go poświęcić i dać jak największą ilość szczęścia najbiedniejszym, których cierpienia są mi znane.

Zmęczony i wzruszony wywołaniem ukochanej swojej idei, Włodzimierz Guzow umilkł nagle, dysząc ciężko.

Bankier Versigny z podziwem i zainteresowaniem patrzył w jego twarz pobladłą.

— Niech pan odpocznie — prosił go serdecznie — Ta dłuższa rozmowa wyczerpała pana.

— To nie! — szepnął młody człowiek potrząsając głową — Zresztą, kończę już. Musiałem więc wynaleźć człowieka, któremu zwierzyć się mogłem. Człowieka wpływowego i majętnego i który również obdarzyłby mnie taką wiarą, by mógł zaryzykować poważniejszą sumę. Temu człowiekowi powiedziałbym: Przynoszę bez żadnych zastrzeżeń sposób powiększenia pana majątku. Proszę wykorzystać go dla siebie. Wymagam tylko, aby pan użył tego środka w godnym celu, nie jak spekulant, lecz jak człowiek rozumiejący nędzę ludzką. By pan miliony, które z czasem napłynąć mogą, podzielił w części między najbardziej potrzebującymi bez różnicy narodowości i wyznania i jeszcze po swojej śmierci zabezpieczył ich należycie. Zadanie to pracowite, ale warte celu — nieprawdaż?

Jerome Versigny zamyślił się głęboko.

— Będziemy razem w tym kierunku pracować — rzekł po dłuższej chwili milczenia — od tej chwili oddaję panu do dyspozycyi potrzebne sumy. Pan mnie objaśni, co mam robić. I zaręczam panu słowem uczciwego człowieka — jeżeli po raz pierwszy przystępuję z wiarą i zaufaniem do sprawy podobnej, to dlatego, że dotąd nikt tak do mnie nie przemówił, jak pan, panie Guzow. Znalazł pan we mnie człowieka, którego pan szuka — dodał, serdecznym ruchem wyciągając do niego rękę.

Włodzimierz Guzow w obydwie swoje dłonie pochwycił tę rękę i uścisnął gorąco. Był tak wzruszony, że tak, jak na początku swojej rozmowy, nie mógł i teraz słowa wymówić.

— Oh! Dziękuję... dziękuję... — wyszeptał wkońcu z trudem — Marzenie mojego życia urzeczywistniło się nareszcie...

— Niech pan nie dziękuje, panie Guzow — przerwał poważnie bankier Versigny — Powtarzam, zdobył pan sobie całkowite moje zaufanie i wiarę.

— Ale jeżeli wynalazek dla przyczyn mi nieznanych okazać się może bezwartościowy?

— Nie mam tej wątpliwości, przeciwnie przekonany jestem silnie, że doświadczenia pana są poważne i cenne. W każdym razie nawet przedsięwziął pan pracę ciekawą i niemałej wagi. To mi wystarcza.

Włodzimierz Guzow wyjął z kieszeni marynarki gruby zeszyt popielaty i kładąc go na biurku, rzekł jeszcze:

— Oto dokładny opis moich doświadczeń. Zawiera pierwsze moje poszukiwania, badanie materyałów potrzebnych, postęp pracy i wkońcu warunki, w jakich otrzymałem ten pierwszy kamień. Pozostawiam panu ten dyament wraz z zeszytem. Przy pomocy tych notatek, każdy chemik, cokolwiek uzdolniony, zdoła dalej podjąć fabrykacyę kamieni. Pragnę tylko, aby pan te notatki przeczytał i zapamiętał, a najlepiej będzie, jeżeli pan zechce ten zeszyt u siebie zachować. Bo na wypadek mojej śmierci, niechże choć pan będzie właścicielem mojego sekretu. Wielka szkoda by była, gdyby miał zaginąć, nie wydawszy owoców należnych.

Sir Archibald Graves.

Od czasu tej rozmowy Jerome Versigny stał się wspólnikiem i opiekunem finansowym odkrycia Włodzimierza Guzowa.

Wielkie i śmiałe myśli młodego uczonego podbiły go zupełnie i choć wątpił może w doprowadzenie do rzeczywistego rezultatu szerokich jego planów — jednak uznawał, że zasługiwały na poparcie i zajęcie.

Wszystkie prawie wolne godziny od zwykłych zajęć swoich biurowych poświęcał pracy swojego protegowanego, dla którego czuł coraz wyższy szacunek i podziw.

Jednakże nie chciał, aby sprawa łącząca go z Włodzimierzem Guzowem stała się głośną. Posługiwał się korespondencyą, rozmową telefoniczną, telegramami, w naglących tylko wypadkach zgadzając się na osobiste widzenie się z nim.

Był bowiem zdania, że najmniejsza nieostrożność, mogąc ujawnić sekret tak cennego odkrycia, byłaby zgubną dla całego przedsięwzięcia. A ponad wszystko Jerome Versigny obawiał się bystrego oka angielskiego milionera, sir Archibalda Graves.

Wiedział, że tenże już oddawna, jeszcze przed jego poznaniem z Włodzimierzem Guzowem — czekał tylko na sposobność, aby mu módz zaszkodzić w jego operacyach finansowych.

Archibald Graves i wszyscy jego wspólnicy trustu angielskiego, byli to ludzie, którzy nie odrzucali żadnych środków, kiedy chodziło o dopięcie raz zamierzonego celu. Poznał to Jerome Versigny i został już raz ostrzeżonym o zamiarach Archibalda Graves.

Jednego dnia tenże najniespodziewaniej zjawił się w jego biurze. Rozmowa ich była zaostrzona i poważna.

Archibald Graves kazał się woźnemu zameldować pod przybranem nazwiskiem, a chociaż Versigny nie znał go jeszcze osobiście, domyślił się z wyrazu twarzy muskularnej i dumnej i nieugiętego spojrzenia, że ma przed sobą sławnego króla finansowego.

Archibald Graves usiadł, nie będąc do tego zaproszonym i przystąpił bez zwłoki do swojego celu, wyrażając się krótkiemi, jasnemi i stanowczemi zdaniami:

— Panie Versigny! — rzekł — Nie chciałem wyjawić prawdziwego nazwiska mojego woźnemu pańskiemu. Ludzie nie powinni wiedzieć, że tu przyszedłem. Jestem Archibald Graves, prezydent „Trustu dyamentowego".

Urwał i przeczekał chwilę, badając wrażenie, jakie to oświadczenie mogło wywołać na przeciwniku, lecz Versigny nie drgnął nawet i tylko ruchem ręki poprosił go o podjęcie dalszej rozmowy.

— Jesteśmy obydwaj ludzie, którzy wiedzą, do czego dążą — podjął dalej sir Archibald Graves — Albo uważamy kogoś za swojego sprzymierzeńca, lub też nieprzyjaciela. Co do mnie, jeżeli mam nieprzyjaciela, staram się zawsze uczynić jego działalność nieszkodliwą dla siebie. Panie Versigny, proponuję panu zgodę, albo wojnę. Zaznaczam przytem, że muszę pana uważać za człowieka godnego szacunku, skoro podjąłem się wobec pana tej misyi, którą obarczyło mnie Towarzystwo trustowe. Przychodzę więc do pana, ja, Archibald Graves i proponuję panu ugodę.

Spojrzenie Anglika z poza jego krzaczastych brwi błyszczało niepokojącem światłem.

Versigny spojrzał na niego swobodnie i odparł, pomału cedząc słowa:

— Czy przypuszcza pan, sir Archibaldzie Graves, że ulęknę się chociaż na chwilę przed temi groźbami. Mówi pan o szacunku, ale widocznie pan mnie nie zna dobrze.

— Nie czynię żadnych przypuszczeń, ale jestem dobrym graczem. Przedstawiam panu nasze zapatrywania, właściwie moje zapatrywania. Oznajmiam więc panu, że Towarzystwo generalne kopalń francuskich przeszkadza nam bardzo w działaniach. — Chcemy sobie wyrobić wpływ całkowity i nieza-

przeczony na wszystkich rynkach giełdowych, czy to w Europie, czy w krajach eksploatowanych. Otóż tam, na Przylądku ajenci pańscy w grę naszą wchodzą, szkodząc nam niezmiernie. Tracimy więc wobec tego dużo cennego czasu napróżno, a zaangażowaliśmy się teraz w nowe poważne interesa i musimy działać szybko. Faktem jasnym jest, że pan jest silnym, za silnym dla nas. Musi więc pan pracować wspólnie z nami w warunkach, które określimy i które dla pana nie będą bez korzyści — lub też zniknąć pan musi, panie Versigny i zostawić nam wolną drogę działania. Czy pan to zrozumiał, panie Versigny? Sądzę, że teraz jest pan gotów do porozumienia się ze mną?

Nigdy jeszcze Jerome Versigny nie odczuł tak silnie rozkoszy potęgi i znaczenia, jak w tym hołdzie, brutalnym zapewne, ale szczerym i wielkim. I to przemawiał człowiek nie przeciętny, geniusz finansowy, Anglik o wytrwałości żelaznej. Przyszedł bez wahania i oświadczył, że czuje się zagrożonym wobec siły i rozwoju towarzystwa francuskiego.

Lekki, ironiczny uśmiech przewinął się przez usta Jeroma Versigny, kiedy wyrzekł stanowczym głosem:

— Szkoda słów pańskich, sir Archibaldzie Graves. O żadnych układach między nami mowy być nie może.

„Król dyamentów“ na tę odpowiedź powstał w milczeniu. Twarz jego surowa i zimna przybrała taki wyraz zaciętej energii i uporu, że objaw ten na chwilę zastanowił bankiera Versigny.

— Żegnam pana, panie Versigny — wyrzekł po chwili zastanowienia Archibald Graves — Pozwoli pan uścisnąć sobie rękę. Przyznaję, że w głębi duszy nie miałem nadziei onieśmielić pana, bo wiedziałem, że pan jest odważnym i niezależnym człowiekiem. Jednakże byłbym wolał zastosować przeciw panu środki ugodowe... zamiast innych... Ale w każdym razie nie podejdę pana w zdradziecki sposób.

Słowa te zdziwiły bardzo pana Versigny. Powstał bez słowa jednak i grzecznie odprowadził swojego gościa do drzwi gabinetu.

Aż do chwili poznania Włodzimierza Guzowa, bankier Versigny nie uznał za potrzebne zabezpieczyć się przed groźbami, które mieściły się w słowach sir Archibalda Graves i które zamienić się mogły wkrótce w niebezpieczeństwo groźne.

Po odejściu gościa wzruszył ramionami niedbale, pewny w siłę swoją i odporność wobec nieprzyjaciela. Jednakże jak tylko został wciągnięty w zamiar młodego uczonego i posiadł jego tajemnicę, przypomniał sobie to zajście i pomyślał, że teraz musi przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności i obrony przeciw angielskiemu finansiście.

Bo gdyby rzeczywiście sir Archibald Graves, który dotąd nie dawał znaku życia, dowiedział się o nowych jego operacyach finansowych, nie omieszkałby zapewne przeciwdziałać w jak najostrzejszy sposób i niszczyć owoce jego pracy.

Dla tego więc powodu Versigny, rozumiejący jasno obecną swoją sytuacyę, nie zdradzał się przed nikim ze znajomością z Włodzimierzem Guzowem i ograniczył zupełnie jego odwiedziny do biura na ulicy Pillet-Will.

Wytłumaczył mu motywa nienawiści sir Archibalda Graves, skierowanej ku niemu i wykazał skutki jej, gdyby tenże przejął podstępnie ich wspólną tajemnicę.

— Musimy być przygotowani na szpiegowanie z jego strony — rzekł Versigny raz do Włodzimierza Guzowa — Należy się więc panu strzedz tej ewentualności na ulicy. Jeżeli pan zauważy, że ktoś pana śledzi, najlepiej wskoczyć do omnibusu, naturalnie osoba śledząca uczyni to samo. Wówczas w chwili, kiedy omnibus ma już ruszyć z miejsca, niech pan zeskoczy prędko i idzie w jakim bądź kierunku. Jest pan już wówczas na czas jakiś bezpieczny, bo anioł stróż pana albo nie zdąży podążyć za panem, lub też rozmyślnie pozostanie w omnibusie, nie chcąc obecności swojej zdradzić wobec pana. Poza tem niech pan pamięta o przechodnich kamienicach i kościołach, o kilku zazwyczaj wyjściach. Uśmiecha się pan. panie Guzow i zapytuje, skąd poważny bankier Versigny wie o podobnych procederach?

— Rzeczywiście! — odparł młody człowiek — Widzę, że pan jest człowiekiem, który myśli o wszystkiem.

— W naszem położeniu musimy być przygotowani na wszelkie ewentualności. Tego sposobu zmylenia tropu nauczył mnie mój przyjaciel, Oktawiusz Bernac, detektyw amator, z którym zapoznam pana przy najbliższej sposobności.

Pensyonat „Europa“.

Pomiędzy gośćmi pensyonatu „Europa“, w którym zamieszkał Włodzimierz Guzow, po zawarciu znajomości z bankierem Versigny, największej fawory-zowanym i lubianym przez właścicielkę zakładu panią Lutin — był czcigodny ojciec Nataniel Bodminster. Ale nietylko pani Lutin okazywała mu nadzwyczajną sympatyę, wyróżniając go na każdym kroku, lecz i wszyscy goście pensyonatu „Europa“ odnosili się do niego z najwyższym szacunkiem i uznaniem.

Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster był ciekawą postacią. Wysoki, ascetycznie chudy, o szerokich, dziwnie rozrośniętych ramionach, miał twarz bladą, spokojną i bez wyrazu, w której błyszczały silnym ogniem jasne, siwe oczy. Kiedy chodził, wielkimi krokami mierząc przestrzeń, zdawało się, że biegnie.

W pensyonacie pani Lutin, ojciec Nataniel Bodminster przebywał często, zatrzymując się niekiedy dosyć długo. Obecnie wydelegowany został przez komitet uczonych z Leeds, w celu badań naukowych w bibliotece narodowej nad tekstami manuskryptów, poświęconych celtyckiemu pochodzeniu tego miasta.

W obejściu z ludźmi był nadzwyczaj swobodny i uprzejmy. Rozmawiał chętnie, wesoło z pewną swadą i oryginalnością i gdyby nie krój poważny ubrania i pewna powściągliwość, kiedy rozmowa przechodziła na temat religii — nikt by się w nim nie domyślił człowieka oddanego służbie bożej.

Interesował się żywo wszystkimi gośćmi pensyonatu „Europa“. Mówiąc bardzo płynnie miejscowym językiem, skupiał wokoło siebie grono osób, z których część przeważna odnosiła się do niego z szczerą sympatyą.

Pani Lutin zaś formalnie szczyciła się jego obecnością w zakładzie i czyniła wszystko, co było w jej możności, aby go przytrzymywać u siebie jak najdłużej.

— — — — — — — — — — — — — — —

Niegdyś jeszcze towarzysze Włodzimierza Guzowa wspominali mu o pensyonacie pani Lutin, jako o spokojnem i wygodnem zaciszu, lecz chociaż warunki zamieszkania tam nie były zbyt wygórowane, młody uczony nie mógł sobie na tę przyjemność pozwolić. Zmieniły się rzeczy, kiedy bankier Versigny zaopiekował się nim.

Pensyonat „Europa“ mieścił się w trzechpiętrowej kamienicy przy ulicy de Tournon. Pokoje były urządzone skromnie, ale czysto. Każdy pokój, prócz najniezbędniejszych sprzętów, posiadał dużą szafę z lustrzaną szybą. Stary służący, Adolf, pomarszczony jak jabłko, wywiązywał się dosyć zadawalająco ze swojego zadania. Pożywienie było wystarczające i zdrowe. Całe generacye studentów i cudzoziemców różnych narodowości przeszły już przez zakład pani Lutin, która o wszystkich swoich gościach wspomina z żalem i życzliwością.

Zebrane podówczas towarzystwo „Europy“ przyjęło jak najserdeczniej Włodzimierza Guzowa. Przybył on tu na mocy poleceń poważnych osób, znających właścicielkę pensyonatu. Lecz nikt nie okazywał mu tyle zainteresowania i uprzejmości, jak czcigodny ojciec Nataniel Bodminster.

Jego przyjaźń dla młodego uczonego wzrastała z dniem każdym. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności złożyło się, że zajmowali pokoje na tym samym piętrze. Ojciec Nataniel chciał wszystko wiedzieć o młodym swoim przyjacielu. Wypytywał go o przeszłość jego, o pracę obecną, zatrzymującą go w Paryżu, pragnął poznać jego znajomych.

Włodzimierz Guzow był człowiekiem szczerym i bezinteresownym, ale doświadczenia przeżyte nauczyły go, że szczerość i prostota bywa zazwyczaj źle opłacana. I teraz więc, szczególniej po radach i ostrzeżeniach, otrzymanych od bankiera Versigny, żył bardzo ostrożnie i uważnie, nie wiele mówiąc o sobie. Nawet kolegom i współziomkom swoim najserdeczniejszym nigdy ani słowem nie wspominał o projekcie swoim i odkryciu jakie uczynił. Wielkie przeznaczenie i cel dobry, które widział w związku z tem przedsięwzięciem, rozgrzewały go w sumieniu swojem z tej nieszczerości, przed którą niechętnie wzdrygała się jego prosta i uczciwa dusza.

W miarę więc, jak pytania czcigodnego ojca Nataniela Bodminster stawały się bardziej naglące, Włodzimierz Guzow, pozostając zawsze uprzejmym i zachowując tę niedbałą swobodę właściwą naturom słowiańskim — stawał się więcej jeszcze zamkniętym w sobie i niedostępnym zwierzeniom.

Regularnie więc teraz, chcąc ujść przed natarczywą życzliwością ojca Nataniela, wstawał o pół godziny wcześniej, żeby uniknąć spotkania się z nim na korytarzu i nawiązania rozmowy i wychodził na miasto do swoich zajęć.

Ojciec Nataniel zaś, okazawszy mu kilkakrotnie lekkie niezadowolenie i żal z tego postępowania, nie starając się już więcej usposobić młodego uczonego do zwierzeń — przestał go męczyć swoją obecnością. Ale kiedy spotykali się przy wspólnym stole lub w salonie pensyonatu, do którego niekiedy zaglądał Włodzimierz Guzow, okazywał mu dalej tę samą sympatyę, ograniczając się jednak do rozmów o bieżących sprawach.

Tymczasem prace młodego Rosyanina rozwijały się nader pomyślnie. Przy pomocy Versigny'ego, zawsze czuwającego nad z równą serdecznością — urządził sobie w Saint Owen małą pracownię, rodzaj fabryki, funkcyonującej znakomicie. Instalacya pieców i dynamos postąpiła szybko, dzięki zręczności robotników, wybranych przez samego bankiera.

Włodzimierz Guzow oświadczał wszystkim wokoło oficyalnie, że czyni badania nad radyum. Mając zawsze przy sobie klucze od laboratoryum, mógł operować spokojnie bez obawy, że ktoś z robotników podpatrzy jego prace i poweźmie jakie podejrzenia.

Od chwili przestąpienia progów swojego laboratoryum, młody uczony żył w atmosferze ciągłego podniecenia gorączkowego.

W długiej swojej bluzie białej, w jaskrawem oświetleniu elektrycznych lampek, Włodzimierz Guzow, z twarzą ascety, okoloną długimi jasnymi włosami i brodą, podobnym był do alchemisty z epok ubiegłych.

Równocześnie z energią wytężoną w kierunku ukochanej swojej pracy, przy ożywiającej go nadziei dojścia do zamierzonego celu, w dogodnych już teraz warunkach materyalnych, powracało mu pomału utracone zdrowie. Napady nerwobolów i duszności stawały się coraz rzadsze i za każdem widzeniem się bankier Versigny konstatował, że protegowany jego nabiera siły i odporności.

Pewnej niedzieli rano, Jerome Versigny, umówiwszy się poprzednio z młodym uczonym, przyszedł do pensyonatu „Europa“ — chcąc z nim dłużej pokonferować nad wspólnemi pracami.

Zamknięci w pokoju rozmawiali obaj przyciszonym głosem. W pokoju przyległym czcigodny ojciec Nataniel Bodmiester zajęty był przelewaniem jakiegoś płynu do małych flaszeczek. Posiadał on słuch nadzwyczajny i wkrótce zauważył szmer głosów, dochodzący przez ścianę.

Wstał więc natychmiast i wyjął z szuflady podręcznej maleńką, wąską tubkę metaliczną, którą wsunął do otworu w ścianie. Aparat ten fonetyczny był rodzajem mikrofonu. Ojciec Nataniel przybliżył ucho do tego aparatu i słuchał z całą uwagą, zamknąwszy oczy dla skoncetrowania wrażenia.

Nagle na twarz jego wystąpił wyraz silnego zdumienia i ciekawości. Odstąpił trochę od ściany i szepnął zaintrygowany:

— To jest Versigny... bankier Versigny... Co on tu robi? Po co przyszedł? Muszę tę rzecz zbadać.

Powrócił napowrót do ściany i tak zatopił się w podsłuchiwaniu, że czoło jego zbiegło się w sieć drobnych zmarszczek.

Nareszcie w chwili, kiedy ze słów dobiegających go mógł wnosić, że rozmowa w przyległym pokoju kończy się już i rozmawiający żegnają się, czcigodny ojciec Nataniel Bodminster wyrwał szybko aparat ze ściany, włożył do szuflady biurka i wziąwszy kapelusz wyszedł, zamykając pokój na klucz. Następnie zbiegł ze schodów, czyniąc jak najmniej hałasu i stanął na ulicy przed głównemi drzwiami, prowadzącemi do pensyonatu. Tutaj dla umotywowania swojej obecności, zajął się pozornie dwoma psami, przewracającymi się w zabawie po ulicy.

Wkrótce z bramy wysunął się bankier Versigny. Obawiając się poznania, podniósł wysoko kołnierz futra i skierował się pospiesznie w dół ulicy.

Ale wprawne i bystre oko ojca Nataniela już go poznało.

— To on! To on bez żadnej wątpliwości — mruknął z zadowoleniem — Nie zmarnowałem dzisiejszego dnia. Najwyraźniej przypadek mi służy.

W jakiś czas późni j Włodzimierz Guzow udał się do swojego laboratoryum i wsiadł do omnibusu, odchodzącego w stronę Saint Owen. Ale w połowie drogi doznał dziwnego wstrząśnienia. Na zbiegu jakichś ulic, gdzie ruch powozowy był silnie wzmożony, omnibus był zmuszony przystanąć na chwilę. Wówczas Włodzimierz Guzow ujrzał nadjeżdżający ciężki wóz automobilowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wystawa cmentarzy wojennych: Projekty Duszana Jurkowiča.

Ze szpitalnictwa wojskowego.

(Do illustracyi na str. 10).

W szeregu zdjęć ze szpitalnictwa wojskowego zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografie z prywatnego lazaretu S. S. Franciszkanek przy ulicy Thunowskiej w Pradze. — W szpitalu tym, który znajduje się pod kierownictwem dra Antoniego Pohoreckiego i starszej siostry, hr. Luizy Taaffé, są umieszczeni ranni żołnierze, którzy w wolnych chwilach zajmują się pracą piłeczkową. Przed świętami Wielkanocnemi podała hr. Taaffe myśl zrobienia większej ilości jaj wielkanocnych z umieszczoną we wnętrzu grą cierpliwości. Chętni ranni żołnierze zabrali się do dzieła i w kilku tygodniach wykończyli tysiąc sztuk takich jaj, które w ciągu kilku dni rozsprzedane zostały, przynosząc około sto koron czystego dochodu.

Obecnie taką samą grę w zwykłych pudełkach wykonują dzielni żołnierze w wielkich ilościach.

Nadmienić jeszcze wypada, że w szpitalu, pomimo, iż znajduje się w stołecznem mieście Czech, w Pradze, ranni różnej narodowości, Polacy, Rusini, Rumuni i Węgrzy, są jednakowo z wielką troskliwością traktowani i czują się jak u siebie w domu. Jest to zasługa przedewszystkiem radcy cesarskiego dra Pohoreckiego, który włada kilkoma językami i w ten sposób porozumiewa się dokładnie z chorymi, jak niemniej siostry, hr. Taaffé, która otacza chorych macierzyńską opieką. Dzięki tym warunkom ranni pracują chętnie i wykonują prace wprost artystyczne, by tym sposobem okazać miłość i wdzięczność swym dobroczyńcom.



Wystawa cmentarzy wojennych: Projekty Rossmanna i porucznika Mayra (plastyczny model).

Kronika tygodniowa.

I znów spotkało mnie besztanie *à conto* poprzedniej kroniki tygodniowej. Jeden z mych znajomych, spotkawszy się ze mną w bezpiecznym odcinku, zwrócił mi uwagę, że rubryka, nazywająca się kroniką i to do tego tygodniową, nie na to jest przeznaczoną, by wymyślać tym, którzy listów nie opłacają lub *Nowości illustrowane* chcieliby czytać za darmo, ale na streszczenie wiadomości z całego tygodnia i podlanie ich odpowiednim kronikarskim sosem.

— Ja, panie drogi — tak do mnie mówił — przez cały tydzień gazet nie czytuję, czekam bowiem na czwartek. Wówczas kupuję sobie *Nowości illustrowane* za trzydzieści dwa halerze, pewny, że dowiem się, co się przez owe siedm dni stało. Czynię to z oszczędności, gdybym bowiem chciał kupować codziennie *Kuryerka*, kosztowałoby mnie daleko więcej, bo aż siedmdziesiąt halerzy. Tymczasem widzę, że pan coraz częściej porusza sprawy, które mnie nic nie obchodzą, bo i listy opłacam i *Nowości* kupuję za gotówkę. Wobec tego mam chyba prawo krytykowania...

— Oczywiście, radco dobrodzieju! — ja mu na to — Cóż to ja jednak poradzę, że okoliczności tak się już złożyły, iż n. p. w ubiegłym tygodniu musiałem poruszyć tamte sprawy. Tak uchwaliliśmy na redakcyjnej konferencyi, ja byłem tylko wykonawcą owej uchwały, nagana spotkać więc winna rękę, która mieczem kierowała, a nie sam miecz, w danym wypadku kronikarskie pióro.

— No! No! Już my się tam pogodzimy, ale popraw się pan na przyszłość i więcej poruszaj politykę, bo to dziś każdego bardziej obchodzi niż po inne czasy.

— I ja jestem tego samego zdania, radco złoty!...

— Daj mi pan spokój ze złotem! Jeszcze mnie gotowi zarekwirować i przetopić na dukaty!

— Niech się radca nie obawia! Proszę się jednak zastanowić nad tem, że trudno ciągle pisać o samej polityce, zwłaszcza, jeśli, dajmy na to, przez całe dwa tygodnie nic nie zajdzie nowego. Nie wypada powtarzać po raz drugi to, co się już przed tygodniem raz omówiło. Zresztą, aczkolwiek stoję w ścisłym związku z wieloma wybitnymi dyplomatami i politykami światowymi, a z prezydentem Wilsonem jestem nawet *per* „ty", przyznam się szczerze, że na tem polu nie mam szczęścia do kombinacyi, ile razy bowiem chciałbym coś przepowiedzieć, tyle razy stanie się zupełnie co innego, nie to, co przewidywałem...

— A jednak pańskie kombinacye i ta platforma, z której zapatrujesz się na sytuacyę, bardzo mi się podobają i jestem prawie pewny, że, gdyby kierownicy europejskiej polityki poszli za twem zdaniem, już dawno byłoby po wojnie!

— Na to się zgadzam. Pójdę nawet jeszcze dalej i powiem, że może wogóle nie byłoby wojny. Proszę sobie tylko przypomnieć, jak to przed laty kilku, gdy na wojnę się zanosiło wprawdzie, ale nikt jeszcze nie wierzył, że wybuchnie tak rychło, proponowałem, aby mocarstwa, mające ze sobą jakieś porachunki, zamiast chwytać za broń, a potem wzajemnie się za łby, wydelegowały każde ze swego terytoryum drużynę footballową. One miałyby definitywnie rozstrzygnąć, kto ma racyę. Match mógłby się odbyć w Hadze, przed pałacem tak zwanego pokoju, grono sędziów stanowiliby czcigodni członkowie trybunału rozjemczego. Naturalnie opłacałoby się wysoki wstęp, z którego część obracałoby się na pokrycie kosztów z tem złączonych, resztę dzieło noby w równych częściach między oba spierające się ze sobą mocarstwa z wyraźnem przeznaczeniem na zakupno armat, balonów, łodzi podwodnych i t. p. zabawek w myśl starej zasady *si vis pacem, para bellum.*

— Tak! Tak! Czytałem o tem i projekt ten bardzo mi się podobał.. W razie potrzeby sam wziąłbym nawet udział w takim matchu, bo to człowiek ma jeszcze charakter w nogach...

— Nieboszczyk jenerał Gallieni, na którym takie psy wieszali nawet Francuzi, a teraz, gdy już przeniósł się do wieczności, wszyscy go chwalą, tak się zapalił do tego rodzaju rozwiązywania politycznych kwestyi, iż codziennie ćwiczył się po kilka godzin w grze w piłkę nożną i podobno to było bezpośrednią przyczyną jego śmierci, gdyż nabawił się jakiegoś tam zapalenia ślepej kiszki..

— Mogli go przecież operować!

— Owszem! Operowano go, operacya się udała, ale pacyent tymczasem umarł!

— A może to nie było zapalenie ślepej kiszki?

— I to być może! Znam wypadek, gdzie lekarze u pacyenta rozpoznali tyfus plamisty i przeprowadzili taką gruntowną dezynfekcyę mieszkania, iż wyrządzono przez to szkodę, obliczoną na kilkaset koron, potem zaś pokazało się, że to nie był żaden tyfus, tylko sobie taka zwykła, całkiem niewinna wysypka...

— Zdarza się! Zdarza... Wracajmy jednak do rzeczy. Niechże się pan poprawi, niech pan pisze o polityce jak najwięcej, a będziesz pan mieć we mnie przyjaciela!

— Zgoda, radco kochany! Przyjaciół umiem cenić, ale proszę mi powiedzieć, jak sobie znów dam radę z tymi, którzy polityki nie lubią, bo mają jej dość w pismach codziennych...

— Na takich nie zważaj! Dla nich będziesz mógł pisać po wojnie o czem tylko zapragniesz, choćby nawet o damskich modach, bo, o ile pamiętam, dość często ten temat poruszasz...

Skończyliśmy na tem rozmowę, ja wróciłem do domu i godzinę łamałem sobie nad tem głowę, od czego mam zacząć niniejszą polityczną kronikę i powziąłem postanowienie powtórzenia, o ile możności dosłownie, całej rozmowy, co też i uczyniłem.

W samym końcu owego interwiewu widzę jednak wzmiankę o modach, a ponieważ obecnie i one stoją w pewnym związku z polityką, im też oddaję pierwszeństwo.

Kędyś tam w Niemczech, w którem jednak mieście, nie pomnę, postanowiono, iż każda z pań, chcąca mieć nową suknię, może na jej sporządzenie użyć tylko pewną, ściśle oznaczoną ilość materyi. Stało się to dlatego, ponieważ najnowsza moda, przepisująca dla dam szerokie a fałdziste suknie, przyczyniała się do marnotrawienia drogiego materyału, co fatalnie znów odbija się na ogóle, łatwo bowiem zdarzyć się może, że dla reszty braknie. W tym celu ogłoszono odnośne przepisy, których każda „fałdzista" dama musi się trzymać i wydelegowano komisye, mające z metrem w ręku badać, czy granic, ustawą naznaczonych, nie przekroczono. Jeśli się pokaże, że tak, winowajczyni zaraz na miejscu zdejmuje się suknię i konfiskuje, samą zaś pociąga się do sądowokarnej odpowiedzialności. W dalszych paragrafach postanowiono, że wyrokujący sędzia może obżałowaną skazać nie tylko na areszt i grzywnę, ale pozatem orzec, że przez lat tyle a tyle pozbawioną zostaje praw obywatelskich, to jest niewolno jej w tym czasokresie sprawić sobie ani jednej nowej sukni.

I u nas wartoby o czemś podobnem pomyśleć (kandydatów na członków komisyi rozpoznawczo-spódniczkowych sądzę nie braknie!), zaczynam bowiem nieraz nawet i ja gorszyć się rozrzutnością niektórych naszych pań, wymyślających coraz dziwaczniejsze okrycia dla swych pięknych ciałek.

Gdy tak patrzę teraz na nowomodnie ubraną niewiastę w słomianym kapeluszu, ażurowej bluzeczce, fałdzistej, kilkopiętrowej sukni, a do tego odzianej futrzanem boa kolosalnych rozmiarów, z głową, łapami i ogonem, nieraz nawet nie jednym, myślę sobie, jaką to frajdę mieliby ludzie lat temu choćby dwadzieścia, gdyby ją tak byli spotkali w ten sposób przyodzianą. Ale czasy się zmieniają, z czasami zmieniają się ludzie, a ludzie tworzą mody.

Za te pieniądze, które niejedna pani wydaje na wet i dziś na różne gałganki i fatałaszki, możnaby odziać i wychować kilka sierót, a te byłyby potem wdzięczne swym dobrodziejom. Trzeba zaś pamiętać, że większa część różnych ozdób i ozdóbek idzie potem na marne, po pierwsze bowiem przerobić się nie dadzą, po drugie zaś, jakżeby elegantka chodziła w czemś przerobionem!

Pod tym względem mężczyźni stoją daleko wyżej, na nich kaprysy mody nie wywierają takiego wpływu (choć i to są wyjątki). Chwalebny jest na przykład zwyczaj chodzenia bez kapeluszy, gdyż nie tylko działa to dobrze na kieszeń, ale i na mózg odnośnego osobnika. Według opinii lekarskiej mózg, choćby nawet rozrzedzony, pod wpływem działających nań bezpośrednio promieni słonecznych, tężeje, a to odbić się musi dodatnio i na wszelkich funkcyach życiowych. Kto zresztą obch dzi się bez kapelusza, potem obejdzie się i bez butów, a ostatecznie i bez innych części garderoby, a wiadomo, jak teraz o nie trudno. Dziś nastały czasy, że każdy, o ile nie jest dziedzicznie obciążony kamienicą lub innym majątkiem ruchomym albo też nieruchomym, udaje literata i chodzi w dziurawych butach, bo nawet na podzelowanie go nie stać. Znam jednego kulawego jegomościa, który z tego właśnie powodu ogromnie zadowolony jest ze swego kalectwa i opowiada wszem wobec i każdemu z osobna, że to prawdziwe dlań szczęście, całej pary butów nie byłby bowiem w stanie dać do reparacyi, tyle to teraz kosztuje.

Znam także pewnego kamienicznika, który stale się chwali dziurawemi podeszwami, zwłaszcza wobec członków komisyi dla podatku osobisto dochodowego, pewny, że ich w ten sposób rozczuli, no i wobec swych lokatorów. I ci wiedzą, co to znaczy. W ten sposób łatwo sobie wytłumaczyć najbliższe podwyższenie czynszów, zwłaszcza, że zbliża się już kwartał...

Tyle o modach, teraz kolej na pokój, o którym od dwu tygodni wszyscy mówią i piszą. Dotąd zabierali w tej kwestyi głos przeważnie Anglicy, którzy się z tem nie kryją, że chętnie rozpocząłby pertraktacye, ale pod warunkiem, że wszelkie ich żądania zostaną uwzględnione. Wydaje mi się to dość śmiesznem. Dotąd brali przeważnie w skórę, ostatnio przy wybrzeżach Jutlandyi, a taki, który jest pobity, warunków pokoju zwykle nie dyktuje. Ale teraz już takie czasy. Kto wie, czy nie odezwą się i Włochy, że i one gotowe są do pokoju, ale pod warunkami, jakie same postawią. I jednym i drugim się zdaje, że, ponieważ wywołali wojnę dla swego interesu, wynik jej ostateczny wypaść musi po ich myśli. Czy tak będzie, wątpić należy, zdrowy rozsądek przecież powiada, że zwycięzca może być tylko w tej kwestyi miarodajnym, a nikt chyba nie zaprzeczy, że dotąd sukcesy wojenne obserwowaliśmy przeważnie po stronie mocarstw centralnych, i jeśli kto, to one mogą stawiać swoje warunki.

I tu właśnie leży przyczyna, że polityką głębszą bawić się nie lubię, trudno bowiem zbadać jej „przepastne krainy" i wyczuć „co w trawie piszczy". A pisać tak o tem i o owem, a właściwie o niczem, czyli *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, to się nie opłaci. Gdyby to choć można tak pisać, jakby człowiek chciał!... Niestety, nie wolno, dlatego lepiej dać spokój polityce, a poruszać tylko kwestye drobniejszej wagi, przynajmniej można się wygadać i wylać część żółci, która się zbytnio nagromadziła i grozi rozsadzeniem wątroby.

A kto wie, czy człowiek wogóle będzie mógł pisywać kroniki, atrament bowiem tak szalenie podrożał (i pióra także), że magistrat nosi się z myślą zaprowadzenia na razie dwu „bezprzecinkowych" dni w tygodniu, jeśli zaś pójdzie dalej w tym tempie, wogóle zakazanem będzie używanie atramentu w zupełności, a trudno wymagać, bym sobie w tym celu kupił maszynę i na niej pisywał. Musiałbym zresztą przyjąć wówczas sekretarkę, a na to znów nie zgodzi się absolutnie Weronisia.

Natomiast załatwiono bardzo pomyślnie sprawę węglową, która nam także porządnie dopiekała. Ze względu na brak węgli i na coraz większą drożyznę rozporządziła komisya aprowizacyjna, aby z dniem pierwszego listopada podniesiono słupek rtęci w termometrze o dziesięć stopni, choćby więc w pokoju było tylko pięć stopni ciepła, termometr wykaże ich piętnaście i każdy będzie zadowolony.

Zagadki do nagrody.

Dwie szarady.
Ułożył St. Ekier z Krakowa.

Całość trzecie pierwsze
Zawsze się zaczyna,
Druga-druga imię,
Nosi je dziewczyna
Całość rownież imię
Popularne w kraju,
Święto jej patronki
Obchodzono w maju.

* * *

Gdy z powyższem rozwiązaniem
Dasz już sobie rady,
Zmień litery w *pierwszej-drugiej*
Tej pierwszej szarady,
A imiona, to jest pewne,
Wypadną ci, jak pokrewne.
Sądzę, łatwa to szarada
I nie nazbyt długa:
Pierwsza *całość* gra w operze,
W operetce druga

Łamigłówka.
Ułożył Stanisław Skóra z Wadowic.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą to, o czem dziś każdy mówi

– an
– ko
– ad
– ad
– sa
– an
– at
– wo
– na
– ac
– ka
– uc
– ra
– an
– fı.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Muł urąbie sępy u drogi Jadacie je?

Trójkąt magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2. Miasto w Niemcze h 3 Masa lodu. 4 Część buta 5 Związek chemiczny. 6. Rozporządzenie władzy 7 Taniec. 8. Przyprawa 9. Litera 10. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O! Pogoni sobie z lwem koty w stoliku.

Grzebieniówka.
Ułożył E Winter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko niedawno zmarłego malarza-legionisty.

□	□	□	□	□	□	□	□	□	□	□
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—
—		—		—		—		—		—

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie 2. Prorok żydowski. 3. Ptaszek o pięknem upierzeniu 4. Amerykański wynalazca. 5. Inaczej sielanka. 6 Miasto w Królestwie Polskiem

Szarada.
Ułożył Cz Krüger, Stanisławów.

Czwarta-druga napływ
Wody powstrzymuje
Na stawie, lub w rzece u młyna,
Druga-pierwsza wspak
Strachem cię przejmuje
Czyś czysty, czy gniecie cię wina.
Całość wieczór, czy o świcie,
Tam, gdzie walka, usłyszycie.

Zagadki.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Przez **k** rzucany jest często armatą,
Przez **p** czas trwoni z materyału stratą.

Przez **p** zwierzę,
Na **g** zamień
Jego głowę,
Będzie kamień.

Bilety wizytowe.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

M ROJA

L TOKARZ

P. TYKO.

P U. CYBARSKI.

T. DORKO

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Nadesłane.

W grocie **„Koziarni"** na wprost willi (hotelu) „Polska Szwajcarya" w Sąspowskiej dolinie **Ojcowa** odbędzie się dnia 11 czerwca b. r. zabawa i przedstawienie teatralne na głodnych.

Z Ojcowa do „Koziarni" doliną Sąspowską półtora kilometra, a od Krakowa (przez Szyce, Lepiankę, pieszo doliną Sąspowską) około 17 kilometrów.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 22.

Szarada: Kasarnia

Zadanie do przestawienia W trzy dni gość i ryby śmierdzą

Szarada: Morawa.

Logogryf:

A	r	y	s	t	y	d	e	s
D	e	s	c	a	r	t	e	s
A	r	c	h	i	e	r	e	j
M	i	l	t	i	a	d	e	s
G	i	m	n	a	z	y	u	m
R	e	u	m	a	t	y	z	m
Z	i	m	o	r	o	d	e	k
Y	p	s	i	l	a	n	t	i
M	a	g	d	a	l	e	n	a
A	r	c	h	i	t	e	k	t
Ł	u	s	z	c	z	y	n	a
A	r	t	r	y	t	y	z	m
S	t	o	k	r	ó	t	k	a
I	n	n	o	c	e	n	t	y
E	u	r	y	p	i	d	e	s
D	e	k	s	t	r	y	n	a
L	o	g	a	r	y	t	m	y
E	u	g	e	n	i	u	s	z
C	z	e	r	e	ś	n	i	a
K	u	k	u	r	u	d	z	a
I	n	h	a	l	a	c	y	a

Grzebieniówka:

L	**u**	**d**	**w**	**i**	**k**	**M**	**o**	**r**	**s**	**t**	**i**	**n**
e		z		s		a		i		y		a
s		i		o		d		c		b		s
z		e		k		r		h		e		t
c		w		r		e		e		r		u
z		a		a		p		l		y		r
y		n		t		o		i		n		c
n		n		e		r		e		s		y
a		a		s		a		u		z		a

Łamigłówka literacka:

Klonowicz.
Orzeszkowa.
Choiński.
Hoffmannowa
Anczyc.
Niemcewicz.
Odyniec
Wilkoński.
Słowacki.
Konopnicka.
Issakowicz

Zadanie do przestawienia Jaki korzeń, taka nać, taka córka, jaka mać.

Bilety wizytowe: Dyakonissa. Prezydent rzeczypospolitej. Komisarz forteczny. Czeladnik piekarski. Marszałek polny porucznik.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga. K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, Z. Szymanek Nowy Sącz, H. Zaleska Lwów, M Łukasiewicz Przemyśl, S Rzepecki Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Leszczyński, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Polska pieśń wojenna. Antologia poezyi polskiej z roku wielkiej wojny. Staraniem Lwowskiej Delegacyi N. K. N. wydali dr. Stanisław Łempicki i dr Adam Fischer, Lwów 1916 Nakładem księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego. Odbito czcionkami drukarni „Prasa".

Pokaźny tom, zawierający kilkaset utworów poetycznych różnych autorów z Roku Wielkiej Wojny. Materyał żywy, tętniący mocą i krwią, niezamknięty, blizki nam, jak blizkie życie naszych braci i synów. Nie do analiz historyczno-literackich ma służyć, ale wieść do silnych przeżyć i odczuwań, umacniać, nauczać, porywać. Wydawnictwo, co do obszerności jest pierwszem podobnem, a za główne zadanie ma ocalić od zapomnienia rzeczy, dla serca polskiego i polskiej kultury nieobojętne Część dochodu przeznaczona na fundusz wdów i sierót po Legionistach

Polnische Legionen 1914 – 1915 Text von J. Kaden und B. Merwin. Ein Separatabdruck aus der Österr Illustrierten Zeitung.

Zbiór aktualnych artykułów, odnoszących się do sprawy Legionów polskich, z licznemi illustracyami.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 3 (dom własny) — Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Wełny, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest **Pończochy,** Rękawiczki, Cwetery i t. p.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

GARNITUR JAKO

PODARUNEK NA BIERZMOWANIE



składający się z 1 dobrze idącego zegarka Anker-Remontoir imitacya srebra, 8-letnia gwarancya, 1 łańcuszek z wisiorkami, 1 pierścionek, 1 szpilka do krawatu, 2 spinki do kołnierza, 2 spinki do koszuli, 2 spinki do manszetów w eleganckiem, imitującem skórę etui

wszystkie 12 sztuk razem tylko K 15

Taki sam garnitur dla pań, składający się z 1 damskiego zegarka lub branzoletki z zegarkiem, 1 sznurka jedwabnego do zegarka ze spinką, 1 pierścionka, 1 broszki, 2 kulczyków, 2 śrubek do uszów, 1 kolii z wisiorkami w eleganckiem, imitującem skórę etui

wszystkie 12 sztuk razem tylko K 15

Przy zamówieniu prosimy wyraźnie napisać czy garnitur przeznaczony dla pań czy panów i równocześnie załączyć K 2·— w papierach lub markach, jako zadatek, reszta za pobraniem.

Max Böhnel

Wiedeń, IV. Margaretenstr. 27/62.

wojenny zegarek K 6·—, zegarek Roskopf K 4·—, branzoletka ze zegarkiem K 6·—.

6

(Zastarzałe rany), które znowu boleć zaczynają należy zawiązać Fellera kojącym ból, antyseptycznym, rozcieńczonym fluidem z esencyi roślin z marką „Elza“. 12 flaszek za 6 koron posyła franko aptekarz E. V. FELLER, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Powinien zawsze być w domu. Wielka ilość listów dziękczynnych. *(u)*



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

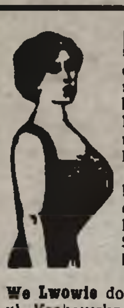
brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·50, 3 słoiki K 4·—, 6 słoików K. 5·50. Tysiączne listy z uznaniem i wdzięcznością.

Kemeny, Koszyce (Kassa), l. fach pocztowy 12—285, Węgry.

Klisze cynkowe i fotografie

z każdego numeru odsprzedaje

Administracya Nowości Illustrowanych



Pewny skutek lub zwrót pieniędzy. Tysiączne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. droguery etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6|F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. Drogueryа Komorowskiego, Floryańska 33.
We Lwowie do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem“ ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. Kołomyja: apteka Lopotka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ JAN SMYK

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnień udziela się chętnie.

Przemyśl, Rynek L. 16

Rowery Ryval



są przecież najlepsze!

K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, Pompa potaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Kupuję i sprzedaję

złoto, srebro, brylanty

płacąc najwyższą cenę. Zakład zegarmistrzowski i jubilerski **Józef Cyankiewicz, Kraków, Sławkowska 24, dom XX. Emerytów**

Potrzebny zaraz trawiacz

do Nowości Illustrowanych.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

Jedyny w Stanisławowie który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ FELIKSA ANTONIEGO MAYERA

Stanisławów, ulica Sapieżyńska L. 65 (dom własny). — Telefon Nr. 79.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego